

PRZYBLIŻAJĄC LEGENDY

STAR
WARS

BOBA FETT

**WALKA
O PRZETRWANIE**

WÓJNY KLONÓW

TERRY BISSON

Gwiezdne Wojny

Boba Fett Część 1 Walka o przetrwanie

Tytuł oryginalny: Boba Fett: The Fight to Survive

Autor: Terry Bisson

Wydawnictwo: Scholastic

Tłumaczenie: Krayt

Korekta: Sharon

Polska wersja okładki: Teesel

Koordinacja projektu: X-Yuri

Tłumaczenie stanowi część projektu „*Przybliżając legendy*”.

ROZDZIAŁ 1

Deszcz.

Niektórzy go nie cierpią.

Inni go uwielbiają.

Jeszcze inni, tacy jak Boba Fett, nie pamiętają czasów bez niego.

Podobno w galaktyce jest niedobór wody, lecz jego planety to z pewnością nie dotyczy. Leje się z nieba strumieniami, w dzień i noc, zupełnie okrywając planetę, która jest jednym wielkim bezkresnym morzem, nie licząc kilku miast wzniesionych na platformach.

Ten świat zwie się Kamino. Miasto, w którym mieszka Boba wraz ze swoim ojcem, to Miasto Tipoca.

A raczej mieszkał. Bowiem jest to historia o tym, jak i dlaczego je opuścili, i co nastąpiło potem.

Być może słyszałeś o ojcu Boby Fetta. Był łowcą nagród. Najlepszym, najszybszym i najbardziej nieustraszoną łowcą nagród w galaktyce.

Boba Fett był dzieciakiem stojącym w jego cieniu, lub przy jego boku. Albo przeważnie i tu, i tu.

To znaczy, gdy miał szczęście. Gdy tata zabierał go ze sobą. Czyli prawie zawsze. Boba miał dziesięć lat, czyli prawie, lecz nie do końca wystarczająco dużo, by być sam.

Boba lubił przebywać ze swoim ojcem. Poznawanie nowych światów, podróże hiperprzestrzenne, a czasem nawet pilotowanie małego, lecz zabójczego statku jego ojca, *Slave'a I*.

Łowca nagród to ktoś wyjęty spod prawa, tropiciel – a czasem zabójca – do wynajęcia. Nie obchodzi go ani to, kim jest jego ofiara, ani to, przed kim i dlaczego ucieka. Pracuje dla tego, kto najwięcej zaoferuje, czyli dla najbogatszych i najbardziej bezlitosnych istot w galaktyce. Bez żadnych pytań.

Bycie synem łowcy nagród oznacza trzymanie zamkniętych ust i otwartych oczu.

Nie ma problemu. Boba Fett był dumny ze swojego ojca i z tego, co robił.

– Jestem synem łowcy nagród. – mówił sobie z dumą. Powodem, dla którego mówił to sobie, a nie komuś innemu, było to, że nie miał komu.

Nie miał przyjaciół.

No, bo jak można mieć przyjaciół gdy się żyje i podróżuje w tajemnicy przed innymi, wkradając się i ukradkiem uciekając z planet, unikając policji i ochrony oraz przeklętych, wścibskich Rycerzy Jedi?

Łowca nagród musi być zawsze przygotowany, by iść tam gdzie trzeba i stawić czoła każdemu niebezpieczeństwu. Tak głosił kodeks Jango Fetta, zasada, którą się kierował w życiu.

Boba miał swój własny, mniejszy, nieco bardziej osobisty kodeks: Dziecko łowcy nagród musi być zawsze gotowe, by iść razem z nim.

W wieku dziesięciu lat Boba widział już więcej galaktyki niż większość dorosłych. To, czego nie widział, to wewnątrz klasy (bowiem nigdy nie był w szkole). To, czego nie widział, to uśmiech matki (gdyż nie miał matki). To, Czego nie słyszał, to śmiech przyjaciela (gdyż nie miał przyjaciół).

To, że Boba nie chodził do szkoły, wcale nie znaczyło, że był głupkiem czy ignorantem.

Zawsze były książki. Książki do wzięcia ze sobą w podróż; książki do czytania w domu na Kamino. Mógł dostać tyle książek, ile tylko chciał (“Można tylko dwie jednocześnie!”) z

małej biblioteki na końcu ulicy, przy której mieszkał, w Mieście Tipoca.

Biblioteka była niczym więcej niż szparą w drzwiach, lecz gdy Boba zadzwonił, bibliotekarz wydawał mu nowe książki i odbierał te, które Boba już przeczytał (lub nie, lub zdecydował, że są nudne).

Bibliotekarz, Whrr, był dla niego prawie jak przyjaciel. Przyjaciel, którego Boba nigdy nie widział na żywe oczy.

Boba nie miał pojęcia, jak Whrr wyglądał – nie wiedział nawet czy był człowiekiem. Był dla niego jedynie głosem wydobywającym się ze szparki w drzwiach biblioteki. Boba nie wykluczał nawet opcji, że Whrr był jedynie droidem, gdyż słyszał jak furczał i brzęczał, gdy sięgał po książki lub hologry.

Głównie książki.

Whrr nie lubił hologier.

– Użyj wyobraźni! – mówił. – Sam zobacz obrazy! Sam usłysz muzykę w swojej głowie!

Boba się zgadzał. Lubił książki, gdyż obrazy, jakie tworzyły one w jego umyśle, były lepsze od tych, jakie widywał w holograch.

Boba wiedział o przyjaciółach z książek.

Wiele książek jest o przyjaciółach. Przyjaciółach, mających różne przygody, dokonujących odkryć, lub po prostu spędzających ze sobą czas.

Czasami Boba udawał, że ma przyjaciół (podobno udawanie jest formą pragnienia).

Lecz głos jego ojca był zawsze w jego głowie: “Boba, nie przywiązuj się. Pamiętaj: Żadnych przyjaciół, żadnych wrogów. Tylko sojusznicy i przeciwnicy.”

To powiedzenie też pochodziło z kodeksu Jango Fetta. Ojciec Boby miał wiele powiedzeń, i każde z nich było w jego kodeksie.

Jednak Jango miał jednego przyjaciela. Sama też była łowcą nagród. Nazywała się Zam Wesell.

Zam potrafiła być piękna, lecz zła. Lubiła być zła. Czasem czytała książki o sławnych wygnańcach i krwawych bitwach.

To ona pierwsza zaproponowała, że Boba powinien czytać, choć sama tego zbyt często nie robiła.

– Chcesz przygód? Czytaj książki. – Mówiła. – A gdy Ci się znudzi, możesz ją po prostu zamknąć. Nie tak jak w rzeczywistości.

Ojciec Boby nie czytał zbyt wiele.

– Książki? Strata czasu, – mówił. – Czytaj mapy, Boba. Instrukcje. Ostrzeżenia. Ważne rzeczy.

Boba też to czytał – ale mimo wszystko wolał książki. Szczególnie książki o droidach i statkach kosmicznych, rzeczach, które wiedział że będzie mógł kiedyś zastosować.

Czasami Boba myślał że Zam doradziła mu czytanie książek tylko dlatego, że tata mówił mu, że to strata czasu. Zam lubiła dokuczać Jango.

Zam była zmiennokształtna, była Clawditem. Zmieniała postać swojego ciała wte i wewte, zależnie od sytuacji.

Matki tego nie robiły, Boba był prawie że pewien. Czytał o matkach w książkach, choć sam nigdy żadnej nie spotkał.

Matka wydawała mu się kimś, kogo miło byłoby mieć.

Kiedyś, gdy był mały, spytał swojego ojca, kim była jego matka.

– Nigdy nie miałeś matki, – odpowiedział mu. – Jesteś klonem. To znaczy, że jesteś moim synem. Kropka. Nikogo innego, tylko moim. Żadna kobieta nie była zaangażowana.

Boba przytaknął. To znaczyło, że był dokładnie taki jak jego ojciec, Jango Fett. To znaczyło, że był wyjątkowy.

Pomimo tego, czasem, potajemnie, żałował, że nie ma matki.

Boba mieszkał z ojcem na Kamino, gdyż Jango Fett miał tam pracę. Szkolił armię super-żołnierzy dla człowieka, który nazywał się Hrabia Tyranus.

Boba lubił patrzeć na żołnierzy, ustawionych w długie szeregi, maszerujących w deszczu. Nigdy się nie męczyli, nigdy nie narzekali i wszyscy wyglądali dokładnie tak samo – tak jak jego ojciec, tylko młodszy. Tak jak Boba, tylko starsi.

– Oni są również moimi klonami. – powiedział Jango, gdy Boba był mały.

Boba spodziewał się to usłyszeć. Ale mimo wszystko bolało.

– Tacy jak ja?

– Nie tacy jak ty. – wyjaśnił mu Jango. – To tylko żołnierze. Dorastają dwa razy szybciej i żyją dwa razy krócej. Ty jesteś jedynym prawdziwym klonem. Moim prawdziwym synem.

– Rozumiem. – odpowiedział Boba. Czuł się lepiej z tą wiedzą. Mimo to, nie chodził już patrzeć, jak klony maszerują. Nie czuł się już też tak wyjątkowy.

Tyranus był starym człowiekiem z podłużną, chudą twarzą i jastrzębimi oczami.

Boba nie widział go nigdy na żywo – jedynie na hologramach, gdy dawał zlecenia Jango Fettowi lub pytał o postępy z armią klonów.

Jango mówił do niego “Hrabio” i był zawsze uprzejmy. Lecz Boba wiedział, że to wcale nie znaczy, że go lubił.

Zawsze bądź uprzejmy dla klienta. To również było częścią kodeksu Janga.

Pewnej nocy Boba słyszał swojego ojca i Hrabiego dyskutujących na temat nowej pracy na odległej planecie.

Tyranus powiedział Jango Fettowi, że praca ta byłaby bardzo niebezpieczna.

To oczywiście nie powstrzymało ojca Boby. Choć potem się czasami zastanawiał, czy hrabia nie przesadził z niebezpieczeństwem, by się upewnić że Jango się zgodzi.

Z dorosłymi nigdy nie było wiadomo.

Jango się zgodził. Powiedział Hrabiemu że będzie się musiał spotkać z Zam Wesell i zabrać ją ze sobą.

Boba uśmiechnął się, gdy to usłyszał. Skoro oboje jechali, to może i on również zabierze się z nimi? Niestety nie.

Następnego ranka Jango przyodział się w zbroję i powiedział Bobie, że on i Zam udają się na wycieczkę.

– Ja też? – spytał Boba pełen nadziei.

Jango pokręcił głową.

– Wybacz, synu. Będziesz musiał zostać w domu sam.

Boba jęknął.

– Łowca nagród nigdy nie narzeka. – powiedział Jango tym specjalnym głosem zarezerwowanym dla cytowania kodeksu. – Jego syn też nie.

– Ale...

– Żadnego ale, synu. To jest specjalna misja dla Hrabiego. Zam i ja musimy podróżować szybko i lekko.

– Jestem szybki! – odpowiedział Boba. – I lekki!

Jango Fett się zaśmiał.

– Nieco za lekki. – powiedział, klepiąc Bobę po głowie. – Lecz wystarczająco duży, by zostać tutaj sam. To nie zajmie dłużej niż kilka dni.

Następnego ranka Boba obudził się sam w mieszkaniu. Sam w domu – lecz z drugiej strony niezupełnie sam.

Ojciec zostawił mu miskę z pięcioma myszami morskimi w środku. Oraz liścik: Wrócimy, gdy tych już nie będzie.

Myszy morskie mogą żyć zarówno w wodzie, jak i na lądzie. Są niesamowicie urocze, z dużymi brązowymi oczami i małymi łapkami, które zamieniają się w płetwy gdy włoży się je do wody.

Są również bardzo smaczne... jeśli się jest węgorzem morskim.

Węgorz morski Jango mieszkał w akwarium w sypialni.

ROZDZIAŁ 2

Boba z zaskoczeniem stwierdził, że lubi być sam w domu.

Całe mieszkanie było jego. Codziennie trzy kostki wychodziły ze szpary, idealnie podgrzane.

Boba mógł robić, co chciał. Mógł się kręcić wokół kosmoportu, oglądając smukłe myśliwce i wyobrażając sobie, że siedzi za sterami. Mógł udawać, że jest łowcą nagród i śledzić niczego nie podejrzewające osoby po ulicach. Albo, kiedy mu się już znudził wiecznie padający deszcz, mógł się zwinąć w kłębek na kanapie i czytać.

Nie czuł się nawet samotnie. Gdy Boba był z ojcem, Jango Fett prawie nigdy się nie odzywał. Lecz gdy Boba był sam, cały czas słyszał głos swojego ojca w głowie. “Boba, zrób to. Boba, zrób tamto.”

To było równie dobre, jak gdyby rzeczywiście tam był. A nawet lepsze.

* * *

Pierwsze dwa dni były łatwe. A za następne trzy dni Jango i Zam będą z powrotem. Skąd Boba to wiedział?

Zostały tylko trzy myszy morskie. Węgorz jadał jedną na dzień. Każdego ranka Boba brał mysz morską z miski i wrzucał ją do akwarium węgorza.

Węgorz nie miał imienia. Po prostu “węgorz”.

Bobie nie podobały się jego wąskie oczy i ogromna paszcza. Ani sposób, w jaki połykał całą mysz morską za jednym razem i potem trawił ją przez cały dzień.

To było przerażające.

Zwykle to Jango Fett karmił węgorza. Lecz teraz był to obowiązek Boby. Na notatce było wszystko napisane: Wrócimy, gdy tych już nie będzie.

Boba wiedział, że Jango uważał za istotne, by jego syn umiał robić to, co konieczne, nawet, gdy to było przerażające. Nawet, gdy to było okrutne.

Łowca nagród jest wolny od przywiązań, tak głosiło jedno z jego powiedzeń. Inne zaś: Życie istnieje kosztem śmierci.

Trzeciego ranka, gdy Boba wstał i podgrzał sobie śniadanie, w misce były trzy myszy morskie.

Zdecydował się zlitować nad jedną. Zrobiło mu się ich żal, z ich wielkimi brązowymi oczami. Co, jeśli by dał węgorzowi swoje własne śniadanie? Albo, powiedzmy, połowę?

Słyszał w głowie głos swojego taty: Urozmaicaj rutynę. Szablony to pułapki.

– Dobrze, tato. – powiedział.

Przełamał swoją bułkę śniadaniową na pół i wrzucił połówkę do akwarium węgorza.

Zniknęła prawie natychmiast.

Następnie włożył rękę do miski i podniósł jedną z myszy morskich. Ułatwiła mu zadanie, chwytając się jego palców swoimi małutkimi łapkami.

Może wie, że nie nakarmię nią węgorza, pomyślał. Ale nie, każda wcześniejsza dokładnie tak samo na niego patrzyła, tuż przed tym, jak ją upuścił do akwarium węgorza.

Lecz ta ma rację, pomyślał. Muszę się jej pozbyć, lecz mogę to zrobić w inny sposób. Dam jej wolność.

Taki miał przynajmniej zamiar.

Boba wyniósł mysz morską na korytarz, zjechał z nią windą i wyszedł na dziedziniec za budynkiem.

Wypuścił ją w ogrodzie chwastowym.

– Na razie, mała myszko morska. – powiedział. – Jesteś wolna.

Mysz spojrzała na Bobę bardziej przerażona niż szczęśliwa. Może nie wie co to wolność, pomyślał. Popchnął ją lekko palcami i małe stworzenie zniknęło w wysokiej, mokrej od deszczu trawie. Mała fala ruchu w zaroślach zdradzała, gdzie się porusza.

Nagle przecięła ją większa fala.

Boba usłyszał małutki pisk – a potem cisza.

ROZDZIAŁ 3

Po południu Boba poszedł do biblioteki. Chodzenie do biblioteki zawsze wprawiało go w lepszy nastrój. No dobra, nie zawsze, ale zwykle.

Wsunął do szpary książki, które chciał zwrócić. Światło się zapaliło, a Whrr zafurczał i zabrzączał.

– Boba! – powiedział, – Jak się masz?

– Nie najlepiej, – odpowiedział Boba. Opowiedział Whrrowi, co się stało z myszą morską.

– Nie najlepiej, – przyznał Whrr – ale przynajmniej spróbowałeś. Życie jest ciężkie dla małych i słabych, tak myślę.

– Jak to, tak myślisz? – spytał Boba. – Nie wiesz?

– Nie do końca. – odpowiedział Whrr. – Dlatego zostaję tutaj, z dala od wszystkich. – Zafurkotał dźwięk oznaczający zmianę tematu. – Gotowy na jakieś nowe książki? Naprawdę skończyłeś już te?

– W większości, – odrzekł Boba. – Lubię czytać o nawigacji i lataniu statkami kosmicznymi.

– Czytasz coraz szybciej, – powiedział Whrr, wysuwając przez szparę nowe książki. – To dobrze!

– Czemu to dobrze?

– Możesz przeczytać więcej książek!

Boba nie mógł powstrzymać śmiechu.

– Dlaczego się śmiejesz? – spytał Whrr, jakby lekko urażony.

– Mój tata mówi, że jak się jest pilotem, to wszystko wygląda jak statek. – powiedział Boba.

– Więc?

– Więc, Whrr, jeśli byłoby tak jak mówisz, to wszyscy czytaliby książki.

– No i? Wciąż nie rozumiem co w tym śmiesznego. – odpowiedział Whrr z

dezaprobuującym trzaskiem.

– Nie ważne, na razie! – Boba wziął do ręki książki i odbiegł.

Czas się pozbyć kolejnej myszy morskiej.

Boba obudził się zdeterminowany, by tym razem zrobić właściwą rzecz. Dał węgorzowi całe swoje śniadanie. Stworzenie połknęło wszystko za jednym zamachem.

W misce zostały już tylko dwie myszy morskie. Obydwie popatrzyły na Bobę błagalnym wzrokiem swoich małych, brązowych oczu.

– Muszę się was pozbyć. – powiedział Boba, podnosząc jedną z nich. – Lecz nie nakarmię wami węgorza. Uwolnię was na serio.

Zamknął na klucz drzwi mieszkania i turbowindą zjechał na ulicę. Włożył sobie mysz morską pod koszulę żeby nikt jej nie widział.

Chyba jej się tam spodobało. Gdy Boba ją wyciągnął, spała.

Trzymał ją na wierzchu, w deszczu, gdy szedł w stronę brzegu Miasta Tipoca. Chciał zobaczyć, jak jej łapka zamienia się w płetwę, ale metamorfoza doszła tylko do połowy.

Pewnie trzeba do tego wody morskiej, pomyślał, kierując się w stronę odgłosu fal.

Miasto Tipoca jest zbudowane na platformie pośrodku oceanu. Ogromne fale rozbijają się o filary całymi dniami i nocami. Kamino bywa nazywane „Planetą Burz”.

Boba przytrzymał się barierki i przechylił poza brzeg platformy. Spojrzał w dół, czekając na uspokojenie się fal.

Wreszcie, pojawiło się. Długi odcinek spokojnej zielonej wody. Wyglądał idealnie dla małej myszy morskiej!

– Jesteś wolna, mała. – powiedział, wypuszczając z rąk małe stworzenie. Spadając, mysz morska spojrzała w górę, jakby chciała ten ostatni raz zobaczyć dobroczyńcę, który ją uratował, jej protektora, wielkiego giganta Bobę, który ją ocalił...

Wpadła do wody z delikatnym pluskiem.

Wtem Boba zauważył ciemny kształt w wodzie, oraz błysk zębów od spodu.

I mysz morska zniknęła.

Nie została nawet plamka na wodzie.

Boba spędził resztę dnia, grając w hologry i spoglądając przez okno na strumienie deszczu lejące się z nieba. Miał dosyć książek. Miał dosyć czytania o szczęśliwych rodzinach i o dzieciach, które miały przyjaciół. I o zwierzątkach domowych.

Miał dosyć bycia sam w domu.

Tęsknił za dowcipami Zam (nawet tymi głupimi). Brakowało mu powiedzeń jego ojca (nawet tych, które słyszał już milion razy).

Następnego ranka wyciągnął ostatnią mysz morską z miski.

– Wybacz, mały. – powiedział, wrzucając ją do akwarium węgorza. – Taki już po prostu jest ten świat.

Po czym usiadł, by zjeść własne śniadanie i czekać na powrót swojego ojca i Zam.

ROZDZIAŁ 4

Boba cały dzień siedział i czekał na pewien charakterystyczny dźwięk.

Albo kilka dźwięków.

W końcu, późnym popołudniem, oto one: krótka symfonia kliknięć i trzasków, wszystkie dobiegające od kłódek wiszących na drzwiach mieszkania.

Wtem drzwi się odsunęły i oczom Boby ukazał się Jango Fett, wyglądający potężnie i groźnie w swej mandaloriańskiej zbroi bitewnej, stojąc w holu w kałuży wody.

– Tato! – wykrzyknął Boba. – Gdzie Zam?

– Później. – odpowiedział jego ojciec.

Jango Fett zdjął zbroję i rozłożył jej poszczególne elementy na podłodze w sypialni, podczas gdy Boba cały czas mu się przyglądał. Nazywał ją “strojem”. Był o wiele mniejszy bez niego.

Twarz Jango pod hełmem była smutna i ozdobiona licznymi bliznami. Twarz Jango w hełmie była zimna i bezwzględna. Boba się nigdy nie zastanawiał, która była jego “prawdziwą” twarzą. Dla niego obie były prawdziwe: zatroskany ojciec, nieustraszony wojownik.

– Gdzie Zam? – spytał znowu.

– Dlaczego zadajesz tyle pytań, synu?

– Chcę jej powiedzieć kawał. – tak naprawdę to nie miał żadnego na myśli, ale mógł zawsze coś wymyślić na poczekaniu.

– Będziesz go musiał zachować dla kogoś innego.

Kogoś innego? Nie było nikogo innego! Lecz Boba się nie kłócił, gdyż wiedział, że to nie ma sensu.

– Ok. – powiedział. Spuścił głowę, by ukryć rozczarowanie i skierował się w stronę wyjścia. Potrafił dostrzec, że jego ojciec chce być zostawiony w spokoju.

– Nie będziesz już więcej widywał Zam. – powiedział Jango. Boba się zatrzymał.

– Już nigdy?

– Nigdy. – Przytaknął łowca nagród.

Gdy Jango Fett nie miał na sobie mandaloriańskiej zbroi bitewnej, odziany był w zwykłe ubrania. Bez hełmu, niewiele osób go kojarzyło.

Zbroja była stara i zniszczona, jak zresztą sam Jango. Zawsze ją zdejmował i czyścił po powrocie z misji, lecz nigdy jej nie polerował. Otarcia zostawiał w spokoju.

– Nie powinna błyszczeć. – powiedział Bobie, gdy po południu pracowali razem przy czyszczeniu zbroi. – Wtedy przyciągasz do siebie za dużą uwagę.

– Tak jest. – odpowiedział Boba.

Twarz Jango Fetta wydawała się jeszcze smutniejsza i starsza niż zwykle. Boba zastanawiał się, czy miało to coś wspólnego z Zam.

Wreszcie zebrał w sobie wystarczająco dużo odwagi, by spytać.

– Miała zamiar nas zdradzić, – powiedział Jango. – Nie mogłem na to pozwolić. Są kary. Ona zrobiłaby to samo gdybym to był ja.

Boba nie rozumiał. Co jego ojciec próbował mu powiedzieć?

– Czy coś się stało Zam?

Jango powoli pokiwał głową.

– Bycie łowcą nagród oznacza, że nie zawsze wraca się do domu. Pewnego dnia stanie się nieuniknione. A gdy się stanie...

– Co to znaczy nieuniknione? – spytał Boba.

– Nieuniknione znaczy coś pewnego. Śmierć to coś pewnego.

Nagle Boba zrozumiał.

– Zam nie żyje, co nie, tato?

Jango przytaknął.

Boba z trudem powstrzymywał łzy.

– Jak... Jak to się stało?

– Nie chcesz wiedzieć.

Boba nagle poczuł smutek ogarniający go niczym fala. A za nim jeszcze gorsza fala strachu. Jeśli to się mogło przytrafić Zam, to czy mogło się to też przytrafić jego ojcu?

Boba nie chciał o tym myśleć. Jego tata miał rację: nie chciał wiedzieć.

Gdy skończył pomagać swojemu ojcu czyścić broń i przeładowywać broń, wyszedł na zewnątrz i przeszedł się aż na sam koniec ulicy i z powrotem.

Zam martwa. Koniec z głupimi dowcipami. Koniec ze śmiechem. Samotny świat Boby Fetta właśnie stał się jeszcze samotniejszy.

Kamino to dobre miejsce na bycie smutnym, gdyż tam zawsze pada deszcz. Gdy właśnie wróciłeś z deszczu, nikt nie pozna, że płakałeś.

Gdy Boba powrócił do mieszkania, zauważył, że jego ojciec też właśnie wrócił z deszczu.

Dziwne, pomyślał. Nie widziałem go tam.

Po kolacji, Jango Fett powiedział:

– Boba, posłuchaj mnie.

Boba zaczął go słuchać.

– To, co się stało Zam, mogłoby się stać każdemu z nas. Każdemu łowcy nagród. Rozumiesz?

Boba przytaknął – lecz wcale tak nie myślał. Był zdeterminowany nie dopuścić do siebie takich myśli. Obiecał sobie, że nie będzie o tym myślał. Nie mógł sobie tego nawet wyobrazić. Kto lub co mogłoby wygrać w pojedynku z jego ojcem?

– Dobrze. – powiedział Jango Fett. – Tak więc, synu, chciałbym żebyś to wziął.

Jango wręczył Bobie książkę.

Boba był zszokowany. Mój tata?! Książka?!

Jango zdawał się czytać w myślach Boby.

– To nie książka, synu, – powiedział. – To wiadomość ode mnie dla Ciebie, gdy nadejdzie czas.

Nie książka? Wyglądała na zwyczajną książkę, grubości około dwóch palców, z twardą okładką. Była czarna, na okładce nie miała niczego. Żadnych słów, żadnych obrazków. Nic, ani z przodu, ani z tyłu.

Boba spróbował ją otworzyć, ale strony wydawały się sklezione. Pociągnął mocniej, lecz jego ojciec pokręcił głową.

– Nie otwieraj jej. – powiedział. – Bo gdy ją otworzysz, to już koniec twojego dzieciństwa. A na to za wcześnie. Chcę, byś ty miał to, czego ja nigdy nie miałem: dzieciństwo.

Boba kiwnął głową, mimo że był zmieszany. Czemu jego ojciec dał mu książkę, jeśli nie chciał, by ją otwierał?

Znowu, jakby czytał jego myśli, Jango mu wyjaśnił:

– Jeśli coś mi się stanie, powinieneś ją otworzyć. Powie ci, co powinieneś wiedzieć. Komu ufać. Komu nie. Co robić. Czego nie. Dopóki to się jednak nie stanie, nie otwieraj jej, i trzymaj ją gdzieś w ukryciu. Rozumiesz, synu?

Boba przytaknął. Rzucił czarną książkę (która tak naprawdę nie była książką) na stertę z książkami z biblioteki. Nie będzie mu potrzebna. Nigdy. Przenigdy. W sensie, coś złego miałoby się stać jego ojcu, najgroźniejszemu, najszybszemu, najbardziej nieustraszonemu łowcy nagród w galaktyce?

Nigdy. Nie do pomyślenia. Co po prostu oznaczało, że Boba nie będzie nawet o tym myślał.

ROZDZIAŁ 5

Następnego dnia Boba wraz z ojcem poszedł na ryby. Lekko padało, więc usiedli na skale przy brzegu morza. Boba strzelał do faloryb miotaczem harpunów z celownikiem laserowym. Jango kazał mu wyłączyć laser i samemu celować.

Boba wiedział, że wyprawa na ryby to pomysł jego ojca, żeby mu poprawić samopoczucie, by zapomniał o śmierci Zam. Boba starał się skoncentrować na zadaniu.

Nie przestawał łowić, nawet gdy Taun We, jedna z Kaminoan, zatrzymała się, by porozmawiać z Jango. Była wysoka i biała niczym korzeń, który dopiero co został wyrwany z ziemi. Jej ciemne oczy były wielkości spodków, szyję miała długą i chudą.

Boba przeważnie lubił Taun We, lecz dziś jedyne, o czym gadała, to praca, praca, praca. Coś związanego z klonami. Boba starał się nie słuchać. Nie chciał słyszeć o armii klonów – jego dziesięciu tysięcy braci bliźniaków. Czuł się dziwnie na samą myśl o tym.

Ucieszył się, gdy Taun We odeszła, i żeby to udowodnić, przestrzelił jeszcze kilka faloryb. Próbował się zachowywać tak, jakby był podekscytowany, żeby sprawić przyjemność swojemu ojcu, lecz przychodziło mu to z ewidentną trudnością.

Boba nie mógł przestać myśleć o klonach. Nie mógł przestać myśleć o Zam.

Podekscytował się znów, gdy przechodzili obok kosmoportu, wracając do mieszkania. Na platformie do lądowania był nowy statek. Był to smukły myśliwiec, jaki wcześniej widział tylko na zdjęciach.

– Wow! – powiedział. – To Delta-7!

– A droid? – spytał Jango, wskazując na astromecha za kokpitem.

– To R4-P, – odpowiedział podekscytowany Boba. Podczas gdy jego ojciec słuchał, wymienił wszystkie cechy myśliwca. Dodatkowa broń, zwiększona prędkość – Delta-7 z R4-P był rodzajem statku, który tylko nieliczni, wybrani piloci mogli obsługiwać.

– Jak kto, na przykład? – spytał Jango.

– Jak ty! – powiedział Boba, gdy pędzili do domu w deszczu. Był zadowolony, że mógł się pochwalić tym, czego się nauczył z książek. A jeszcze bardziej zadowolony, że zdołał przywołać uśmiech na twarz swego ojca.

Lecz uśmiech nie utrzymał się długo. Jango wydawał się o czymś myśleć. Coś mu chodziło po głowie.

Wszedł do sypialni, by się położyć, podczas gdy Boba usiadł z encyklopedią – „Myśliwce Galaktyki”. Był ciekawy, czemu taki smukły statek jak Delta-7, przyleciał na odległe Kamino, gdzie nie działo się nigdy nic ważnego ani ciekawego.

Nie zdążył porządnie zabrać się za czytanie, gdy usłyszał dzwonek do drzwi. Ani on, ani jego ojciec, nie mieli zbyt wielu znajomych, szczególnie od śmierci Zam, więc się trochę zdziwił.

To była znów Taun We. Lecz tym razem nie przyszła sama. Mężczyzna, stojący obok niej, odziany był w prostą szatę i nie miał na sobie żadnej biżuterii. Pod szatą Boba zdołał dostrzec zarys miecza świetlnego.

Jedi.

Nagle oświeciło go, skąd przybył myśliwiec.

Ostrożnie otworzył drzwi.

– Boba, czy jest twój ojciec? – spytała Taun We.

– No.

Nie mów więcej niż to konieczne. To było jedno z ulubionych powiedzeń Jango Fetta. A

Boba wiedział, że tyczyło się w szczególności sytuacji z Jedi.

– Moglibyśmy go zobaczyć?

Jedi nic nie mówił. Tylko tam stał, przyglądając się i przysłuchując. Spokojny i opanowany. I trochę niepokojący.

Boba sam starał się opanować.

– Jasne. – powiedział. Zawsze bądź uprzejmy. W szczególności do wrogów.

A Jedi, jako strażnicy pokoju, byli naturalnymi wrogami łowców nagród, którzy działali poza prawem.

Boba odsunął się, by wpuścić ich do środka. Jedi rozglądał się, jakby nigdy wcześniej nie był w mieszkaniu. Wścibski! Pomyślał Boba. Postanowił go zignorować.

– Tato, Taun We tu jest!

Jango Fett wyszedł z sypialni. Spojrzał na obu gości i chyba mu się nie spodobało to, co zobaczył.

– Jango, witaj z powrotem. – powiedziała Taun We, udając, że wcale się z nim nie widziała parę chwil wcześniej. – Czy wyprawa była owocna?

– W miarę.

Boba przysłuchiwał się uważnie. Taun We brzmiała przyjaźnie, jak zwykle. Natomiast jego ojciec mierzył Jedi wzrokiem od stóp do głów i z powrotem. To, że Jango niezbyt się podobało to, co widział, było oczywiste, tak, jak to, że na Kamino padał deszcz. Tu chodziło o coś więcej.

Boba zastanawiał się, czy spotkali się kiedyś wcześniej. Zastanawiał się, czy Jedi miał coś wspólnego ze śmiercią Zam.

– To jest Mistrz Jedi Obi-Wan Kenobi. – rzekła Taun We. – Przybył sprawdzić nasze postępy.

Dwóch mężczyzn przeszywało się nawzajem wzrokiem. Było to niczym bitwa toczona bez użycia słów ani broni.

Boba patrzył, zafascynowany. Było dla niego oczywiste, że jego ojciec mógł sobie jednym palcem poradzić z głupim Jedi. Lecz coś go powstrzymało.

– Klony robią duże wrażenie, musisz być dumny. – powiedział Jedi z lekkim ukłonem.

– Jestem prostym człowiekiem, który próbuje znaleźć swoją drogę w Galaktyce. – odrzekł Jango, odwzajemniając ukłon.

– Jak my wszyscy, prawda?

To przypominało bitwę o to, kto jest bardziej uprzejmy!

W tym czasie Jedi dyskretnie spojrział do sypialni, gdzie mandaloriański hełm i zbroja leżały na podłodze.

Jango zbliżył się do drzwi, blokując wzrok Jedi.

– Zapuszczałeś się kiedyś aż po Coruscant? – spytał Kenobi.

– Raz albo dwa. – odpowiedział spokojnie Jango.

– Niedawno?

Co za wścibski Jedi! Pomyślał Boba. Zastanawiał się, czemu jego ojciec w ogóle z nim rozmawiał.

– Możliwe. – odpowiedział Jango. Boba poznał po tonie jego głosu że jego ojciec rzeczywiście był na Coruscant.

Jedi również to wiedział.

Teraz Boba wiedział już na pewno, że Jedi i Jango spotkali się już wcześniej i że Jedi był jakoś powiązany ze śmiercią Zam. Jak on nienawidził tego kołtuńskiego uśmiešku Kenobiego!

– W takim razie z pewnością znasz Mistrza Sifo-Dyasa. – powiedział Jedi.
– Boba, zamknij drzwi. – Jango odezwał się po Huttyjsku, w języku, który obaj dobrze znali.

Boba zrobił, co mu ojciec kazał, nie spuszczać wzroku z Jedi. Chciał, by poczuł jego nienawiść.

W tym czasie Jango fechtował. Z tym, że używając słów zamiast miecza.

– Mistrza...?

– Sifo-Dyasa? Czy to nie on cię najął?

– Nigdy o nim nie słyszałem.

– Naprawdę? – spytał Jedi. Po raz pierwszy wydawał się zaskoczony.

– Zwerbował mnie człowiek imieniem Tyranus na jednym z księżyców Bogdenu.

Wtem wtrąciła się Taun We:

– Sifo-Dyas powiedział nam, byśmy się go spodziewali. – oznajmiła Jedi, wskazując na ojca Boby. – I pojawił się dokładnie wtedy, kiedy wasz Mistrz Jedi powiedział. Utrzymywaliśmy udział Jedi w tajemnicy, dopóki się nie pojawiłeś, dokładnie tak, jak zażądał wasz Mistrz.

Jedi wydawał się tym wszystkim zdziwiony, choć próbował tego nie okazywać.

– Ciekawe. – orzekł.

– Czy podoba ci się twoja armia? – spytał Jango. Jego chłodny uśmiech wydawał się dla Boby niczym miecz wbity prosto w serce wścibskiego Jedi.

– Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę ich w akcji. – odparł Kenobi. Całkiem niezła kontra, Boba musiał przyznać.

– Sprawdź się wyśmienicie, mogę to zagwarantować. – zapewnił Jango.

Jedi się poddał.

– Dziękuję za twój czas, Jango.

– Spotkanie z Jedi to zawsze przyjemność. – powiedział z lekkim sarkastycznym uśmiechem ojciec Boby.

Drzwi się zasunęły i poczęły automatycznie zatrząskiwać. Boba był wstrząśnięty. Spodziewał się, że jego ojciec, wygrywając taki pojedynek, będzie wyglądał na zadowolonego, nawet bardzo. Zamiast tego, na twarzy Jango Fetta malowała się troska i wydawał się głęboko zamyślony.

Boba zaczął się zastanawiać, czy jego ojciec rzeczywiście wygrał.

– Co jest, tato? – spytał.

– Spakuj się. – powiedział Jango. – Wynosimy się stąd.

ROZDZIAŁ 6

Podczas gdy Jango Fett zakładał zbroję, Boba wrzucił wszystko co on i jego ojciec posiadali (nie było tego zbyt wiele) do rozszerzalnej torby lotniczej.

– Pospiesz się, Boba!

Boba wiedział, że jego ojciec niczego się nie boi. Lecz po spotkaniu z dziwnym Jedi, Jango wydawał się zdenerwowany. Zatraskany. Nie przestraszony, lecz... przynajmniej zmartwiony.

I był w WIELKIM pośpiechu.

Gdy Boba skończył pakować torbę, wrzucił wszystkie brudne naczynia do szpary czyszczącej. Nie musiał dbać o porządek. Gdyby to nie było takie przerażające, byłoby całkiem

dobrą zabawą.

– Zostaw resztę. – powiedział Jango. – Nie mamy czasu.

Uważaj, czego sobie życzysz! Ile już razy Boba marzył o tym, by spędzić trochę czasu z dala od deszczowego Kamino i mieszkania gdzieś indziej, gdzie jest słońce – i może nawet przyjaciele?

Teraz to się działo naprawdę. Przynajmniej ta część z czasem z dala od Kamino. Boba niby się cieszył, a jednak... tu było łóżko w którym spał i śnił, parapet, na którym siedział i czytał i patrzył na bezustanny deszcz, pudełko, w którym trzymał książki, ubrania i stare zabawki, wszystko na jednej kupie.

Trudno jest opuścić jedyne miejsce, w którym się kiedykolwiek mieszkało, szczególnie, jak się nie wie, kiedy się tam wróci. To tak jakby zostawiać za sobą małe części siebie. Niczym...

Boba się opamiętał. To nie czas na sentymentalność. Jego ojciec się spieszył. Musieli się zbierać.

I była jedna, ostatnia rzecz, którą musiał zrobić, nim opuścili miasto Tipoca.

– Hola! Gdzie się wybierasz? – spytał Jango. Miał na sobie zbroję, łącznie z hełmem i wszystkim. W rękę trzymał coś, co wyglądało jak bicz. – Gdzie z tym idziesz?

– Yy, tato... książki z biblioteki?

Boba miał nadzieję, że jego ojciec zrozumie, że musi je oddać. Kto wie, kiedy wrócą? A Boba nie chciał musieć płacić kary za trzymanie ich za długo.

– Pospiesz się, synu. – powiedział Jango. – A skoro już tam idziesz...

Podał Bobie ów „bicz”. To był węgorz.

– Wypuść go do morza. Niech sam sobie radzi dla odmiany.

– Tak jest! – I Boby już nie było, zanim jego ojciec mógł zmienić zdanie. Węgorza miał oplecione wokół jednej ręki, a w drugiej trzymał książki.

Biegł przez deszcz tak szybko, jak tylko potrafił. Zatrzymał się przy brzegu platformy, tam, gdzie kiedyś wypuścił mysz morską. Przechylił się nad barierką i wrzucił węgorza do morza.

Plum.

Boba dostrzegł ciemny kształt, błysk zębów. I węgorza już nie było.

– Dobrze ci tak! – wymamrotał, biegnąc w kierunku biblioteki. – Życie jest ciężkie dla małych i słabych. A wszystko jest względne.

Boba pospiesznie wepchnął książki do szczeliny. Jedna, druga, trzecia...

Whrr zafurczał, zadowolony.

– I co sądzisz? – spytał zza drzwi swym charakterystycznym, metalicznym głosem. – Jak ci się podobały?

– Nie najgorsze. – odpowiedział Boba. – Ale nie mogę teraz gadać.

– Nie? Czemu? Nie chcesz wypożyczyć jakichś książek?

Przeważnie Boba lubił rozmawiać o książkach. Lecz dziś nie miał czasu.

– Muszę lecieć! Na razie!

– Wracaj prędko, Boba. – powiedział Whrr. – Ale czekaj, mam tu...

– Nie mogę czekać! – Boba nie miał serca żeby powiedzieć swojemu koledze, że nie wie, kiedy wróci.

Więc się po prostu obrócił i biegł.

Jango Fett, wyglądający groźnie w pełnej zbroi, czekał przed mieszkaniem z torbą w ręku. Boba wiedział, że był na niego zły że to mu tak długo zajęło. Lecz żaden z nich nic nie

powiedział.

Dwójka pomaszerowała szybko do malutkiej platformy do lądowania, na której spoczywał *Slave I*, mały, zwinny statek łowców nagród. Jango zajął się torbami, podczas gdy Boba począł przygotowywać statek do startu.

Właśnie skończył obchodzić statek gdy usłyszał kroki. Z początku pomyślał, że może to Taun We przyszła, by się pożegnać.

Jednak nie.

To był Jedi, Obi-Wan Kenobi. Ten, który był w mieszkaniu i się o wszystko wypytywał.

I biegł.

– Stój! – krzyknął.

Taa, jasne! Pomyślał Boba.

Jango najwyraźniej przeszło przez głowę to samo. Wyciągnął blaster i oddał kilka strzałów, jednocześnie rozkazując:

– Boba, na pokład!

Nie musiał mówić dwa razy. Boba wlaź do kokpitu i przyglądał się, jak jego ojciec odpalił plecak odrzutowy i wyleciał na dach pobliskiego budynku. Tam przykleknął i zaczął obsypywać Jedi pociskami laserowymi z blastera.

KA-WHAP!

KA-WHAP!

Choć nigdy jeszcze sam nie leciał *Slave'em I*, Boba doskonale znał wszystkie kontrole i systemy uzbrojenia. Wyciągając rękę, włączył główne systemy zasilania, tak, żeby statek był gotowy do startu gdy jego ojciec załatwi sprawę z Jedi.

Wtem wpadł na jeszcze lepszy pomysł. Aktywował kontrole dział laserowych.

Boba już tyle razy to ćwiczył, że wiedział dokładnie, co robić. Namierzył Jedi i nacisnął spust.

SKA-PLANG!

Trafiony! Prawie.

Kenobi został gwałtownie rzucony o ziemię, miecz świetlny wypadł mu z ręki. Boba miał zamiar oddać jeszcze jeden strzał, gdy jego ojciec wszedł mu w drogę.

Jango zleciał z budynku i stanął naprzeciw Jedi.

Jedi zaszarżował.

Jango również.

Super! Pomyślał Boba. Jeszcze nigdy nie widział swojego ojca w walce wręcz, a szło mu wspaniale.

Tajemnicza Moc Jedi była niczym w porównaniu z mandaloriańską zbroją Jango Fetta. Łowca nagród miał wyraźną przewagę. W akcie desperacji Jedi wyciągnął rękę, lecz Jango użył plecaka odrzutowego, by się wznieść i go kopnąć.

– Dawaj! – Boba krzyknął, choć wiedział że nikt go nie słyszy.

Jedi upadł i ześlizgnął się w stronę krawędzi platformy, pod którą rozbijały się z hukiem fale. Zdawał się używać tej swojej Mocy żeby przywołać miecz świetlny, lecz Jango Fett mu przeszkodził. Wystrzelił z karwasza kabel, który obwiązał się wokół nadgarstków Jedi.

Po czym znów aktywował plecak, ciągnąc Jedi w stronę krawędzi – i morza.

– Dawaj, tato! – Krzyknął Boba.

Lecz Jedi zdołał zaczepić kabel o kolumnę. Przestał się ślizgać i wstał, po czym pociągnął za kabel...

SPROINNGG!!

O nie! Boba widział wszystko, co się działo. Spróbował wycelować w niego działka, lecz teraz obaj mężczyźni ześlizgiwali się ku krawędzi – i ogromnym falom pod nią.

– Tato! – krzyknął Boba. – Tato! – Walnął w szybę kokpitu, tak jakby jego pięści i krzyki mogły jakoś uchronić jego ojca przed pewną śmiercią.

Ale to jeszcze nie był koniec. Jango Fett wypuścił kabel z karwasza, tym samym się uwalniając. Po czym użył wbudowanych w karwasz ostrzy by zatrzymać się w ostatniej chwili.

Jedi natomiast ześlizgnął się z krawędzi.

Boba odetchnął z ulgą: jego ojciec był bezpieczny. No i zwycięstwo: już po Jedi!

Z krawędzi. Do morza.

Dobrze ci tak! Pomyślał.

Rampa się otwierała.

Boba wylazł z siedzenia pilota w samą porę.

Jego ojciec wskoczył na miejsce. Silniki ożyły z rykiem i statek wzniósł się w powietrze pośród burzy.

Boba spojrział w dół, na fale. Nie było ani śladu Jedi, zresztą nic dziwnego. Kto by mógł pływać w tej głupiej szacie? Z pewnością go ściągnęła na dół.

– Życie jest ciężkie dla małych i słabych! – mruknął pod nosem, gdy wlatywali w grubą warstwę chmur.

– Co powiedziałeś, Boba?

– Powiedziałem „Dobra robota, tato!”

ROZDZIAŁ 7

Boba był wcześniej w kosmosie, kiedy podróżował z ojcem. Lecz gdy się jest bardzo małym, nie dostrzega się wielu rzeczy.

Teraz, gdy miał już dziesięć lat, lepiej rozumiał to, co widział. Wszystko wydawało się nowe i ekscytujące.

Na Kamino prawie zawsze było pochmurno. Chmury były monotonicznie szare od dołu i czarne jak noc w środku. Lecz widziane z góry, były białe jak śnieg, który Boba widział w widach i o którym czytał w książkach.

Niebo w górze było jasnoblękitne.

Lecz wraz z wznoszeniem się *Slave'a I*, niebo robiło się coraz ciemniejsze – najpierw niebieskie, potem granatowe, wreszcie smoliste czarne. Wtem Boba zobaczył coś jeszcze piękniejszego niż chmury.

Gwiazdy.

Boba oczywiście je rozpoznał. Czytał o gwiazdach; widział je na widach i zdjęciach oraz obserwował sam podczas podróży ze swym ojcem na inne planety. Lecz nigdy nie zwracał na nie jakoś wybitnie uwagi. Małe dzieci nie dostrzegają rzeczy, które są tak oddalone. A gwiazdy prawie nigdy nie były widoczne z pochmurnego Kamino, nawet w nocy. Lecz teraz miał dziesięć lat, i teraz...

Boba widział milion gwiazd, każda z nich oddalona o lata świetlne.

– Wow. – powiedział.

– O co chodzi, Boba? – spytał jego ojciec.

Boba nie wiedział, co powiedzieć. Galaktyka była usypana milionami jasno płonących na niebie słońc. Wokół każdego krążyły planety, każda zbudowana z milionów skał, a każda ze skał

składała się z milionów atomów, i...

– Galaktyka. – powiedział w końcu. – Dlaczego jest...?

– Dlaczego jest co, Boba?

– Dlaczego jest tego wszystkiego tak dużo?

Jango Fett pozwolił synowi „pilotować” *Slave'a I*, co w praktyce jedynie oznaczało siedzenie w fotelu pilota, podczas gdy autopilot sam kierował statkiem. Sam był zajęty przymocowywaniem do zbroi nowego plecaka odrzutowego, mającego zastąpić ten, który został zniszczony w walce z Jedi.

Gdy skończył i usiadł z powrotem w fotelu pilota, Boba spytał:

– Tato, czy przenosimy się na inny świat?

– Na razie.

– Na który?

– Zobaczysz.

– Czemu?

– Czemu zadajesz tyle pytań? – to był sygnał, by Boba się zamknął. Jego ojciec miał powody ku wszystkiemu, choć zwykle się nimi nie dzielił.

– Nie chcesz wiedzieć. – powiedział Jango, wciskając przycisk oznaczony HIPERPRZESTRZEŃ.

Jeśli przestrzeń kosmiczna była super, to hiperprzestrzeń była podwójnie super.

Podwójnie super dziwna.

Gdy tylko *Slave I* przyspieszył ponad prędkość światła i wskoczył w nadprzestrzeń, Bobie zaczęło się kręcić w głowie. Gwiazdy przemykały obok, niczym krople deszczu. To było jak sen, z tym co blisko i tym co daleko splecionym razem, czasem i przestrzenią zmieszonym jak olej z wodą.

Boba zapadł w sen, gdyż nawet dziwaczne robi się męczące gdy wszystko wokół jest dziwaczne...

Śniło mu się, że spotkał matkę, której nigdy nie miał. Był w wielkiej recepcji w pałacu, i był sam. To było jak historia w książce. Ktoś się ku niemu zbliżał, przedzierając się przez tłum. Była piękna, w białej sukni. Szła w kierunku Boby, coraz szybciej i szybciej, a jej uśmiech był tak jasny jak...

– Boba?

– Tak!?

– Obudź się, synu.

Boba otworzył oczy, by zobaczyć swojego ojca u sterów *Slave'a I*. Wyszli już z hiperprzestrzeni, byli z powrotem w „normalnej”, trójwymiarowej przestrzeni kosmicznej.

Dryfowali. Na wprost nich widniała ogromna, czerwona planeta z pomarańczowymi pierścieniami.

Była piękna, lecz nie aż tak jak postać w śnie Boby, zbliżająca się ku niemu przez środek sali balowej. Nie tak piękna jak... Boba poczuł, jak znów zapada w sen.

– Geonosis. – Odezwał się Jango.

– Co? – Boba wstał.

– Nazwa planety. Geonosis.

Gdy *Slave I* zbliżał się do Geonosis, kierował się w stronę jego pierścieni. Jedynie z dużej odległości były one ładne i gładkie. Z bliska wyraźnie można było dostrzec to, z czego się składały – asteroidy i meteoryty, kawałki skał i lodu – innymi słowy jedno wielkie gruzowisko.

Z bliska były całkiem brzydkie i niebezpieczne.

Ręce Jango tańczyły na panelu kontrolnym statku, wyłączając przycisk autopilota. Lot pod pierścieniami byłby trudny. Mistrzowsko wprowadzając statek w orbitę podejściową, powiedział:

– Następnym razem, gdy będziemy lecieli na planetę, na której nieco łatwiej lądować, pozwolę Ci samemu podejść do lądowania, synu.

– Naprawdę, tato? Czy to znaczy, że jestem już wystarczająco duży?

Jango poklepał swojego syna po ramieniu.

– Prawie że, Boba. Prawie że.

Boba odchylił się do tyłu, uśmiechając się. Życie było lepsze niż sny. Kto potrzebował mamy, jak się miało takiego ojca jak Jango Fett?

Nagle Boba dostrzegł coś na tylnym wid-ekranie. Punkcik.

– Tato, chyba nas śledzą!

Uśmiech w mgnieniu oka zniknął z twarzy Jango. Punkcik leciał dokładnie za nimi. Statek na ich ogonie.

– Popatrz na ekran sensora. – powiedział Boba, podekscytowany. – Czy to nie urządzenie naprowadzające?

Jango przełączył ekran sensora na wyższą rozdzielczość. Widniał na nim obraz małego urządzenia uczepionego kadłuba Slave'a I.

Boba nie mógł w to uwierzyć. Czyż nie widział Jedi spadającego do burzliwego morza Kamino? Jak on mógł przetrwać, by ich aż dotąd śledzić?

– Musiał nam przymocować urządzenie naprowadzające podczas bitwy. – powiedział Jango ze stalową determinacją w głosie. – Naprawimy to!

Boba miał właśnie zamiar spytać jak, gdy ojciec wepchnął go z powrotem w fotel.

– Trzymaj się, synu. Wlecimy w pole asteroid. Tam za nami nie polecą. A jeśli się uprze, to zostawimy mu parę niespodzianek.

ROZDZIAŁ 8

Do pola asteroid! Boba poczuł chłodny dreszcz strachu, gdy jego ojciec pociągnął ster do tyłu i *Slave I* wzniósł się nagle i wślizgnął w pas asteroid.

Kanciaste głązy przelatywały za kokpitem z obu stron. To było jak lot przez skalny las.

Boba nie mógł patrzeć. Nie mógł jednak też nie patrzeć. Wiedział, że jeśli w jakąś uderzą, nie żyją. Roztrzaskają się.

Znikną.

Nawet nie pozostawią po sobie śladu w galaktyce.

Wtedy powiedział sobie: Przestań się martwić... popatrz, kto siedzi za sterem!

Nie spuszczał wzroku ze swojego ojca. Asteroidy wciąż przelatywały obok Slave'a I, lecz nie wydawały się już tak straszne.

Jango Fett siedział za sterem.

Boba nieco się rozluźnił i spojrzał w ekran pokazujący widok z tyłu.

– Zniknął. – zakomunikował ojcu.

– Pewnie poleciał na powierzchnię. – odpowiedział Jango.

Nagle na ekranie pojawił się obcy sygnał. Boba rozpoznał wśród asteroid charakterystyczny kształt.

Delta-7.

– Patrz, tato, wrócił!

Jango spokojnie wcisnął przycisk na konsoli uzbrojenia oznakowany jako ŁADUNEK SONICZNY: UWOLNIENIE.

Boba spojrzął do tyłu, by dostrzec mały kanister dryfujący w kierunku myśliwca Jedi.

Wyszczerzył zęby w uśmiechu. Po tobie! Jedi był skończony...

Boba też. Ponieważ gdy się z powrotem obrócił i spojrzął do przodu, nie widział nic prócz skały. *Slave I* zmierzał prosto w kierunku ogromnej, szczerbatej asteroidy!

– Tato! Uważaj!

Głos Jango był cichy i chłodny, gdy ostro wzniósł dziób *Slave'a* w górę, o mały włos unikając morderczego głazu.

– Zachowaj spokój, synu. Wszystko będzie dobrze. Ten Jedi nie da rady nas przez to doścignąć!

Taki był plan, w każdym razie. Lecz Jedi miał na ten temat inne zdanie. Podczas gdy jego ojciec zręcznie manewrował pomiędzy asteroidami, Boba nie spuszczał wzroku z tylnego monitora.

– Tam jest! – zawołał.

Myśliwiec Jedi wciąż był na ich ogonie. Jakby był przywiązany do *Slave'a I*. Jango ponuro pokręcił głową.

– Chyba nie dociera do niego aluzja. No cóż, jeśli go nie możemy zgubić, będziemy go musieli wykończyć.

Wciskając przycisk, obrócił statek i skierował się prosto na kolejną asteroidę, jeszcze większą od poprzedniej.

Z tym, że tym razem nie wzniósł się do góry. Zamiast tego, leciał prosto w kierunku szczerbatej powierzchni.

Boba nie mógł uwierzyć. Czy jego własny ojciec chciał ich obu zabić?

– Uważaj! – krzyknął.

Zamknął oczy, czekając na eksplozję. Więc tak to jest umierać, pomyślał sobie. Czuł się niesamowicie spokojnie. Zastanawiał się, jak bardzo zaboli, gdy uderzą. Czy będzie to tylko jak nagły rozbłysk światła? Czy...

Czy nic.

Z Jango Fettem za sterami, *Slave I* nawet nie zwolnił, nawet się nie zawahał.

Wyglądało to jak nieunikniona śmierć.

Statek zapikował w kierunku powierzchni asteroidy, wlatując do wąskiego kanionu.

U jego dołu była jaskinia, z otworem ledwo wystarczająco dużym, by zmieścić mały statek przechylony na bok.

Tylko ledwo wystarczający...

Coś było nie tak.

Nic się nie stało. Boba wciąż żył. Otworzył oczy.

Wszędzie widział skałę. Jego ojciec wleciał z maksymalną prędkością do dziury w asteroidzie i teraz *Slave I* mknął wąskim, wijącym się tunelem.

Ale zwalniał.

Przynajmniej jeszcze żyjemy, pomyślał Boba. Lecz jeśli Jedi nas ściga, to dlaczego zwalniamy?

Niebawem się przekonał. Tunel przecinał asteroidę na wylot. Gdy *Slave I* wyleciał ze skalnego korytarza, znajdował się tuż za myśliwcem Jedi.

Ofiara stała się łowcą. *Slave I* był na ogonie Jedi.

To był najfajniejszy manewr, jaki Boba mógł sobie kiedykolwiek wyobrazić. Z trudem opanowywał ekscytację.

– Dorwij go, tato! Dorwij go! Ognia!

Boba nie musiał mu nawet mówić. Jango Fett już oddawał strzał za strzałem. Wokół myśliwca Jedi śmiertelne lasery z każdej strony tworzyły świetliste smugi na tle czerni kosmosu.

– Masz go! – wykrzyknął Boba, zauważywszy małą eksplozję, która wstrząsnęła pojazdem Jedi.

Ledwo trafienie, ale trafienie.

Wciąż żył.

Póki co.

– Teraz musimy go tylko wykończyć! – powiedział Jango. Sięgnął do konsoli uzbrojenia i dwoma sprawnymi ruchami nadgarstka uderzył dwa przyciski:

TORPEDY: UZBROIĆ, następnie:

TORPEDY: ODPALIĆ.

Teraz przyszła pora, żeby *Slave I* zapolował. Torpeda wyleciała z kadłuba i zablokowała cel na myśliwcu Jedi.

Boba przyglądał się, zafascynowany. Jedi był dobry, musiał przyznać. Wił się to w lewo, to w prawo, próbował wszelkich manewrów unikowych.

Lecz torpeda miała cel zablokowany i się do niego zbliżała. Wtem myśliwiec wleciał prosto przed ogromną, walącą się asteroidę.

I było po wszystkim.

Nie było sposobu na uniknięcie kolizji. Złapany pomiędzy wybuchem torpedy i wielkim głazem, myśliwiec Jedi zniknął. Została po nim tylko smuga szczątków.

– Masz go... – Boba odetchnął. – Taaak!

Reakcja Jango była nieco bardziej stonowana.

– Już więcej go nie zobaczymy. – powiedział cicho, kierując statek poza pole asteroid i wprowadzając go na ścieżkę podejścia do lądowania na gigantycznej czerwonej planecie.

ROZDZIAŁ 9

Boba spodziewał się, że Geonosis będzie inne niż Kamino, że może będą na nim szkoły, inne dzieci, i różne rzeczy do robienia.

Geonosis było inne, owszem, ale nie w sposób, jaki Boba sobie wyobrażał.

Na Kamino ciągle padało; na Geonosis prawie zawsze świeciło słońce. Kamino było jednym wielkim oceanem; Geonosis też, ale oceanem czerwonego piasku, z którego tu i tam, niczym kolce, wyrastały ogromne skalne wieże zwane stalagmitami.

Prawdę mówiąc, planeta wyglądała na opuszczoną. W każdym razie takie Boba odniósł wrażenie, gdy po raz pierwszy tam wylądował.

Jango Fett osadził *Slave'a I* na skalnym występie na jednym ze stalagmitów, czy kamiennych wież.

Rozbijemy obóz tu, na tej skale? Zastanawiał się Boba, gdy statek wylądował i silniki zamierały.

Wtem w skale rozsunęły się drzwi i pojawiły się droidy konserwacyjne, by zająć się statkiem.

Boba miał wybałuszone oczy, gdy przeszedł za swoim ojcem przez drzwi, które okazały się wejściem do ogromnego podziemnego miasta, pełnego długich korytarzy i wielkich sal, a wszystko to połączone ze sobą siecią świecących tub. Słyszeć było zewsząd kroki oraz krzyki.

A jednak wciąż sprawiało wrażenie pustego. Jedynymi mieszkańcami były spieszące się gdzieś, odległe cienie. Nikt ich nie powitał; nikt nawet nie zauważył dziesięciolatka włączającego się za swoim ojcem.

Gdy szli do góry po schodach w kierunku tymczasowo przydzielonego im mieszkania, Jango wyjaśnił swojemu synowi, że sami Geonosianie byli bezustannie pracującymi dronami. Ich planeta była jednym wielkim zakładem produkującym droidy bojowe.

– A ci, którzy robią droidy, nie są o wiele mądrzejsi ani ciekawszy od samych robotów. – powiedział Jango.

– Więc po co tu jesteśmy? – spytał Boba.

– Interesy. – wyjaśnił Jango. – Ten, kto wynajmuje moją rękę, ...

– ... wynajmuje całego mnie. – odpowiedział Boba, spoglądając na swego ojca.

– Dokładnie. – potwierdził Jango. Poczochrął włosy swojego syna i uśmiechnął się do niego. – Jestem z ciebie bardzo dumny, synu. Wyrastasz na łowcę nagród, dokładnie tak jak twój stary.

Mieszkanie było usytuowane na wyższych partiach kamiennej wieży, z widokiem na pustynię. Jango odszedł, by spotkać się ze swoim pracodawcą, zostawiając Bobę ze stanowczym poleceniem:

– Masz tu być, jak wrócę.

Po kilku godzinach spędzonych w samotności w mieszkaniu, Boba przekonał się, że jego pierwsze wrażenie było jak najbardziej słuszne. Geonosis było nudne. Nawet nudniejsze niż Kamino.

Nudy są trochę jak mikroskop. Potrafią sprawić, że drobne rzeczy wyglądają na o wiele większe niż są w rzeczywistości. Boba policzył wszystkie kamienie w ścianach mieszkania. Policzył wszystkie pęknięcia w podłodze.

Znudzony pęknięciami i kamieniami, wyjrzał przez wąskie okno, obserwując burzę piaskową przetaczającą się po pustyni i spoglądając na ogromne pierścienie na niebie.

Żałował, że nie wziął ze sobą żadnych książek. Jediną, którą miał przy sobie, była czarna książka podarowana mu przez ojca, ta, której nie mógł otwierać. Była w pudle razem z jego ubraniami i starymi zabawkami, nie warto jej było nawet szukać.

Będzie musiał sobie sam znaleźć jakieś zajęcie. Ale jakie?

„Masz tu być, jak wrócę.” To nie znaczyło, że nie może w ogóle opuszczać mieszkania, tylko że nie powinien się udawać zbyt daleko.

Boba wyszedł na korytarz, zamykając za sobą drzwi. Kamienny hol był cichy oraz słabo oświetlony. W oddali słyszał jakiś huk. Brzmiało to prawie jak wzburzone morze na Kamino.

Czy mógłby tu być ocean, na tej pustynnej planecie?

Przeszedł na koniec korytarza i wyjrzał za róg. Huk był głośniejszy. Brzmiało to teraz jak odległe bębnienie.

Za rogiem były kamienne schody prowadzące w dół. U ich dołu, kolejny korytarz. Na jego końcu, następne schody.

Kamienne stopnie prowadzące w dół, w ciemność. Boba schodził po nich, jeden za drugim, próbując wymacać drogę stopami. Z każdym krokiem spowijała go coraz to bardziej nieprzenikniona ciemność.

Coraz ciemniej i coraz głośniejszy. Teraz brzmiało to, jakby jakiś gigant walił w bęben.

Boba miał uczucie, że poszedł już za daleko, ale nie chciał zawracać. Jeszcze nie. Nie dopóki się nie przekona, co wydaje ten dziwny huk.

Wtem długa, spiralna klatka schodowa zakończyła się w wąskim korytarzu. Korytarz kończył się ciężkimi drzwiami. Huk był tak głośny, że same drzwi się od niego trzęsły.

Boba prawie bał się spojrzeć. Właśnie miał zawrócić, gdy usłyszał w swoim umyśle głos swego ojca: Zrób to, czego się najbardziej boisz, a odnajdziesz odwagę, której poszukujesz.

Boba pociągnął drzwi.

BUM

BUM

BUM

Nie było żadnego podziemnego oceanu, ani żadnego giganta grającego na bębnie. Lecz Boba się nie rozczarował. To, co zobaczył, było jeszcze bardziej niesamowite.

Patrzył na ogromną podziemną salę, oświetloną rozjarzonymi latarniami i wypełnioną poruszającymi się we wszystkich kierunkach kształtami. W miarę jak jego wzrok przyzwyczajał się do przyćmionego światła, dostrzegał długą taśmę produkcyjną, na której ogromne maszyny wykrajały metalowe ręce i nogi, koła i ostrza, głowy i torsy. Huk był ogłuszający. Ciężkie, rdzawo-czerwone części, po wykrojeniu były transportowane na klekoczących taśmach do centralnej części sali, gdzie były składane przez ponurych Geonosian, dopóki nie były w pełni sprawnymi droidami bojowymi, które stawały na baczność, gdy tylko przymocowywało się im głowę.

Złożone droidy następnie odmaszerowywały w długich rzędach z pieczary przez wysokie, zaokrąglone drzwi i ginęły w ciemności.

Boba przyglądał się, zafascynowany. Jaki był cel tych wszystkich maszyn do zabijania? Trudno było uwierzyć, że było w galaktyce miejsce na tyle droidów bojowych i droideków uzbrojonych we wszelakie ostrza oraz karabiny.

Wyobraził sobie je wszystkie w akcji, walczące ze sobą. Samo myślenie o tym było ekscytujące – i w sumie trochę przerażające.

– Hej, ty tam!

Boba spojrział do góry, gdzie Droid Strażniczy już biegł w jego stronę przez pomost, zmierzając w kierunku otwartych drzwi.

Zamiast usiłować wyjaśnić kim był i co robił, Boba postanowił zrobić coś bardziej sensownego. Zatrzasnął drzwi i dał nogę.

Masz tu być, jak wrócę, powiedział Jango. Boba właśnie zamykał za sobą drzwi mieszkania, gdy usłyszał kroki w korytarzu za sobą.

O mały włos! Pomyślał, gdy jego ojciec otworzył drzwi.

Razem z nim było dwóch mężczyzn. Jeden z nich był Geonosianinem, odzianym w kunsztowny strój wysokiego urzędnika, zakrywający jego patykowate ciało z beczkowatą głową. Drugi był prościej ubrany, ale wyglądał w jakiś sposób znajomo.

– Tak więc, jak widzisz, Hrabio Dooku, zrobiliśmy wielkie postępy. – powiedział Geonosianin.

„Hrabia” przypomniał mu o wszystkim. Boba już go poznawał.

– Czyż to nie Hrabia Tyranus? – spytał Boba swego ojca, który właśnie wieszał swój hełm obok drzwi.

– Ciiiiii, – powiedział Jango. – Tylko my go znamy pod tym imieniem.

– A więc to jest ów młodzian? – spytał Hrabia. – Pewnego dnia będziesz wybitnym łowcą nagród.

Poklepał Bobę po głowie. Gest był ciepły, choć ręka była zimna, i Boba poczuł nagły przesywający go dreszcz.

– Tak jest, sir. – powiedział, odsuwając się.

Jego ojciec posłał mu chłodne, dezaprobujące spojrzenie, gdy trójka mężczyzn wchodziła do kuchni mieszkania, by kontynuować konferencję.

Boba się zawstydził. Był nieuprzejmy. Chłód musiał być tylko wytworem jego wyobraźni. Hrabia Tyranus był głównym pracodawcą Jango Fetta. Boba był mu winien nie tylko szacunek, ale i zaufanie.

Pewnego dnia będziesz wybitnym łowcą nagród. Słowa Hrabiego uczepliły się pamięci Boby. Miał nadzieję, że się kiedyś spełnią.

Hełm bojowy jego ojca wisiał obok drzwi. Boba zdjął go i wniósł do sypialni.

Chciał zobaczyć, jak wyglądał od wewnątrz. Chciał poczuć, jak to jest być Jango Fettem.

Zamknął za sobą drzwi i włożył hełm na głowę. Otworzył oczy i-

– Wow!

Boba spodziewał się, że wewnątrz hełmu będzie ciemne, lecz nie było. Na wewnętrznej stronie wizjera znajdowały się wszelkiego rodzaju wyświetlacze i ekrany. Większość z nich dotyczyła uzbrojenia i parametrów życiowych.

STRZAŁKI WYBUCHOWE

PROMIEŃ DŹWIĘKOWY

PRAWY KARWASZ

PLECAK ODRZUTOWY

KOLCE NA BUTACH

KOMLINK

DALMIERZ

Było to niczym centrum dowodzenia bardzo małego, kompaktowego, wydajnego statku. Ale za ciężko. Boba z trudnością ruszał głową. Właśnie zdejmował kubek, gdy-

Klik.

Drzwi sypialni się otworzyły. Oo. Teraz był w poważnych tarapatach!

A jednak nie – Jango Fett ze śmiechem zdjął hełm z głowy Boby.

– Nie martw się, synu, twój pancerz będzie na ciebie lepiej dopasowany.

Boba spojrzał w oczy swojego ojca.

– Mój własny?

– Gdy będziesz starszy. Ta zbroja została mi dana przez Mandalorian. Kiedyś będziesz miał własną, gdy sam staniesz się łowcą nagród.

– I nauczysz mnie ją obsługiwać? – spytał Boba.

– Gdy ten dzień nadejdzie, mnie może już nie być. – odpowiedział Jango. – Możesz być zdany na siebie.

– Ale...

– Żadnego ale – powiedział Jango. Usiłował wymusić uśmiech. – Nie martw się. Twój dzień jeszcze nadejdzie.

Wyciągnął rękę i poklepał Bobę po głowie. Tym razem nie było żadnego chłodu.

Późniejszą porą tamtej nocy, Boba usłyszał dziwny dźwięk. Nie był to huk, jaki słyszał przedtem. Nie było to też chrapanie jego ojca, który leżał na łóżku obok.

– OOWOOOO!

To było coś odległego i bardzo samotnego.

Podszedł do wąskiego okna i wyjrzał na zewnątrz. Noc na Geonosis była równie ciemna,

co dzień na Kamino. Pomarańczowe pierścienie planety tworzyły delikatną poświatę, która nieco oświetlała pustyne piaski.

Zaraz pod stalagmitowym miastem było czerwone płaskowzgórze. Przecinały je ledwo zauważalne, błyszczące, jakby diamentowe szlaki.

Płaskowzgórze wyglądało ciekawie, lecz wstęp na nie był srogo zabroniony. Jango Fett powiedział, że zamieszkiwały je dzikie bestie zwane massiffami.

– OOWOOOO!

Znowu – to samotne, żalosne wycie. Massiff, pomyślał Boba. Brzmiał bardziej smutno niż dziko.

Znał to uczucie.

Też chciał tak wyć.

ROZDZIAŁ 10

Gdy Boba się obudził, jego ojca nie było w domu. Na stole leżało śniadanie i karteczka z napisem: Masz tu być, gdy wrócę.

Boba już był na zewnątrz.

Usłyszał odległy huk, lecz ruszył w przeciwnym kierunku, w stronę platformy do lądowania. *Slave I* nie był już tam jedynym statkiem. Wyglądał maleńko w porównaniu z innymi, które były różnej wielkości i kształtu, lecz przeważnie większe.

Boba upewnił się, że nikt nie patrzy, po czym wspiał się po rampie do kokpitu *Slave'a I*. Siedzenie było trochę niskie, ale oprócz tego wszystko wydawało się normalne. Już kiedyś nauczył się na pamięć kontroli sterowania zarówno w kosmosie, jak i w atmosferze. Znał się już na uzbrojeniu, na wszelakich laserach i torpedach. Jego ojciec nauczył go większości, a na resztę sam wpadł.

Boba wiedział, jak odpalić statek, zaprogramować nawikomputer oraz aktywować hipernapęd. Był pewien, że już za niedługo jego ojciec pozwoli mu wykonać samodzielny start i lądowanie. Chciał być gotowy.

Wyobraził sobie, że prowadzi statek, podczas gdy jego ojciec kosił wrogów laserami.

– Poczujcie gniew Fettów! – zakrzyknął triumfalnie, zygzakując pomiędzy wrogimi myśliwcami.

– Hej-

Boba się ocknął. Musiał przez przypadek zasnąć. Pewnie mu się śniło.

– Hej, dzieciaku!

To był geonosiański strażnik.

– Wszystko w porządku. – powiedział. – To statek mojego taty.

Wylazł ze *Slave'a I* i zamknął za sobą właz.

Geonosianin miał tępy, acz sympatyczny wyraz twarzy.

– Czemu tu nie ma nic do roboty? – spytał Boba, chcąc być uprzejmy.

Geonosiański strażnik uśmiechnął się i wywinął blasterem.

– O, wiele do roboty! – powiedział. – Jest arena! Bardzo fajna!

– Co się dzieje w arenie?

– Zabijać rzeczy! – Geonosianin wyjaśnił.

Ciekawe, pomyślał Boba. Zawsze to coś.

– Codziennie? – spytał ochoczo.

– O, nie, – Geonosianin odrzekł. – Tylko specjalne okazje.

Zasady.

Zasady są po to, by je łamać.

To nie była część kodeksu Jango Fetta. Lecz to część kodeksu dzieciaków, pomyślał Boba. W każdym razie powinna być.

Boba sam się usprawiedliwiał. Przygotowywał się do złamania zasady „poza granicą” swojego ojca.

Zamierzał się wyslizgnąć ze stalagmitowego miasta i dostać do czerwonej mesy.

I próbował się zapewniać, że to zupełnie w porządku, że musiał to zrobić.

Szukał przygody.

I wkrótce ją znalazł.

Pierwsza część była prosta.

Główna brama do stalagmitowego miasta była na tym samym poziomie, co ziemia, zaraz pod platformą do lądowania. Była strzeżona przez ospałego geonosiańskiego wartownika, którego zadaniem było wypatrywanie intruzów, a nie uciekinierów.

Prześlizgnąć się obok niego było łatwo.

Gdy tylko poczuł zewnętrzne powietrze, Boba uświadomił sobie, jak bardzo nienawidził zgnięłego zapachu stalagmitowego miasta. Na zewnątrz było świetnie!

Chciał zobaczyć świecące szlaki, które widział z góry. Poszedł wzdłuż pierwszego, który zobaczył. Prowadził wzdłuż jednego z boków czerwonej, kamiennej mesy. To, co sprawiało, że się świecił, to kawałki miki – skały gładkiej i błyszczącej niczym szkło, którą wyłożony był szlak, dzięki czemu łatwo było nim podążać.

Boba był właśnie na zakręcie nad głęboką przepaścią, gdy usłyszał wrzask.

A po nim ryk.

Zatrzymał się – po chwili znów zaczął iść, lecz znacznie ostrożniej, krok za krokiem.

Na wąskim szlaku przed nim, dwie bestie z kolcami na grzbiecie walczyły ze sobą. Ryczały, każda z nich ciągnęła za jeden koniec czegoś, co przypominało włochaty sznur.

Sznur syczał piskliwie.

Sznur był trzymetrowym owłosionym węzem. Oczy i usta miał w centrum długiego, pokrytego sierścią cielska.

Jaszczury, które Boba wziął za budzące grozę massiffy, miały zamiar rozerwać go na pół swoimi długimi, ostrymi jak brzytwa zębami.

Wtem zobaczyły Bobę – i upuściły węza. Boba cofnął się o krok.

Oba massiffy, warcząc, przybliżyły się o jeden krok.

Boba cofnął się o kolejny krok. Po prawej stronie miał ścianę klifu, po lewej i za nim – przepaść.

Massiffy, warcząc, znów się przybliżyły. Tym razem o dwa kroki.

Boba nie spuszczał wzroku z czerwonych oczu massiffów. Miał przeczucie, że gdyby choć na chwilę oderwał od nich wzrok, zaszarżowałyby.

Znów się przybliżyły, ramię w ramię.

Boba uklęknął i obmacując ziemię jedną ręką, podniósł fragment miki. Wciąż nie odrywając wzroku od bestii, sprawdził go palcami. Był ostry jak nóż.

Nagle podskoczył i cisnął nim w massiffa po prawej.

– YELP!

Trafiony. Lecz drugi massiff był już w powietrzu, i leciał prosto na Bobę. Boba usłyszał warkot i poczuł na twarzy ciepły oddech, i skulił głowę, i...

– OOWOOOO!

Massiff nie trafił w niego i zleciał ze skarpy, wśród żalostnego wycia, gwałtownie zbliżając się do ostrych skał na dole. Boba się wyprostował.

Drugi massiff krwawił obficie z jednego oka. Cofał się ostrożnie, po czym odwrócił się i uciekł.

Wąż leżał na szlaku, opatrując sobie rany.

Serce Boby łomotało.

Może łamanie zasad, to, koniec końców, nie aż taki dobry pomysł, pomyślał sobie. Miał szczęście, że jeszcze żył.

Rozważył zawrót, lecz zdecydował, że nie miałyby to sensu. Był już w połowie drogi dookoła mesy. Przelazł więc nad oszołomionym wężem i szedł dalej.

Widział tą drogę z góry. Wiedział, że poprowadzi go z powrotem do wejścia. Wkradnie się do środka i jego ojciec nigdy się nie dowie, że gdziekolwiek wychodził.

Wtem usłyszał coś za sobą. Coś na ścieżce.

Ranny massiff?

Boba nagle poczuł przeszywający dreszcz. Spojrzał przez ramię. To był wąż.

Pełził za nim.

Boba zatrzymał się.

Wąż też się zatrzymał.

Usta pośrodku jego ciała się uśmiechały – w każdym razie tak to wyglądało. I śpiewały, jakby sykiem, niczym spadająca woda. Brzmiało to dziwnie tutaj, pośrodku pustyni. To przypominało Bobie o deszczu na Kamino, albo o falach.

– Idź sobie. – powiedział Boba.

Wąż nie przestawał śpiewać. Nieco się przybliżył.

Boba się cofnął.

– Idź sobie!

Wąż zbliżył się jeszcze bardziej. Boba podniósł kamyk – ostry kawałek miki.

– Idź sobie.

Wąż wydawał się zasmucony. Przestał śpiewać. Wślizgnął się między skały.

Boba szedł wzdłuż ścieżki, w kierunku szczytu mesy, gdy zauważył coś dziwnego.

Na płaskiej platformie pod klifem, z boku mesy, spoczywał mały statek. Myśliwiec. Delta-7! Czy to mógł być...?

Wtedy Boba usłyszał kogoś – lub coś – za sobą na szlaku.

Skrył się za skałą w ostatniej chwili.

Mężczyzna, który przebiegł obok niego, był równie znajomy co myśliwiec. Równie znajomy i równie niepożądany.

To był Jedi, który ich ścigał przez pierścień asteroid! Jedi, którego rozwaliła torpeda. Obi-Wan Kenobi. Wciąż przy życiu!

Boba obserwował zza skały, jak Jedi otworzył właz swojego myśliwca i wlaź do kokpitu. Pomyślał, że ma zamiar wystartować, lecz nie zamknął włazu.

Cokolwiek Jedi wyprawiał, z pewnością nie było to nic dobrego. Musiał go powstrzymać. Ale jak?

Ze swojej kryjówki Boba patrzył ponad obrzeżem mesy na wejście do stalagmitowego miasta. Wciąż stał tam ospały geonosiański wartownik, obok którego przedtem się prześlizgnął.

Myśliwiec Boby był ukryty przed wzrokiem wartownika – lecz Boba nie był.

Ale jak mógł wywołać alarm?

Boba podniósł największy kawałek miki, jaki mógł znaleźć i potarł go o swój rękaw, dopóki nie błyszczał jak szkło. Potem użył go, by odbić światło słońca Geonosis, które ledwo co wyglądało zza pierścieni. Przechylał fragment kamienia to w jedną, to w drugą stronę, dopóki nie dostrzegł błysku światła padającego na oczy wartownika.

Powtórzył czynność kilkakrotnie.

Czy wartownik to dostrzegł?

Tak! Już schodził ścieżką, kierując się w stronę krawędzi mesy. Boba nie mógł zaryzykować wykrycia, więc opuścił szlak i wspinał się po stromym zboczku na szczyt mesy. Gdy tam dotarł, zobaczył geonosiańskiego wartownika obok krawędzi klifu, spoglądającego w dół. Boba wiedział, że dostrzegł myśliwiec Jedi, gdyż rozmawiał przez komlink, cały podekscytowany.

Zwycięstwo! Albo tak się przynajmniej wydawało. Boba pobiegł w stronę podstawy wieży – i nagle gwałtownie się zatrzymał.

Brama była zamknięta. Był uwięziony na zewnątrz. Jak mógł się dostać do środka, nie zostając przy okazji wykrytym?

Wtedy znów mu się poszczęściło. Brama się nagle otworzyła i z wnętrza wylazł oddział droideków. Tak się spieszyły, by złapać Jedi, że nawet nie zauważyły Boby, przylgniętego do kamiennej ściany.

Zdołał prześlizgnąć się przez drzwi, zanim z powrotem zamknęły się za droidekami.

Udało się! Boba miał właśnie zamiar odetchnąć z ulgą, gdy poczuł potężny metalowy karwasz na ramieniu. Duża ręka złapała go delikatnie, acz stanowczo.

– Dokąd się wybierasz, synu? – spytał Jango Fett. – Gdzie byłeś?

– Aaa, na zewnątrz. Sir.

– Chodź do góry. Musimy porozmawiać.

Boba poszedł za swoim ojcem na górę do mieszkania. Nie było niczego, co mógłby powiedzieć w swojej obronie. Nic, co mógłby zrobić. Został przyłapany na gorącym uczynku i zdawał sobie z tego sprawę.

Usiadł na kanapie i przyglądał się, jak jego ojciec zdejmował zbroję bitewną i kładł ją ostrożnie na podłodze.

– Kolejna przygoda? – spytał Jango z lekkim uśmiechem, parząc sobie kubek podłej geonosiańskiej herbaty.

– Bardzo przepraszam, – powiedział Boba. – Bardzo, bardzo przepraszam.

– Za co? – spytał go ojciec.

– Za nieposłuchanie Cię.

– I tylko tyle?

– Chyba... Chyba tak.

– A co z okłamaniem mnie?

– Nie kłamałem. – odrzekł Boba. – Przyznałem się, że byłem na zewnątrz.

Uśmiech jego ojca zniknął z jego twarzy.

– Tylko dlatego, że zostałeś przyłapany. Gdyby to się nie stało,...

– Pewnie bym skłamał. – przyznał Boba. – Za to też przepraszam.

– W takim razie przyjmuję twoje przeprosiny. Jako kara, pozostaniesz w tym mieszkaniu, chyba że ci powiem inaczej.

– Tak jest, sir. – Boba odetchnął z ulgą. Pozostanie w mieszkaniu oznaczało uziemienie. To nie było aż takie złe, jak się spodziewał.

– Byłoby gorzej, – powiedział Jango. – gdybym nie był ci dłużny.

– Dłużny?!

– Jasne. Za naszego przyjaciela Jedi. Tego, który jakimś cudem zdołał nam uciec. Teraz już został schwytany, dzięki tobie. Zwróciłeś uwagę wartownika, pomimo tego, że to mogło cię wpędzić w tarapaty. Dokonałeś słusznego wyboru.

– Tak jest, sir. Dziękuję, Tato. Przykro mi, że cię nie posłuchałem.

– Mi również, Boba, – powiedział z uśmiechem Jango. – Ale jednocześnie jestem z ciebie dumny.

– Jesteś?!

– Martwiłbym się, gdybyś mnie nie posłuchał przynajmniej raz w życiu. To część dorastania. Część uniezależniania się.

Boba nie wiedział, co powiedzieć. Czy jego ojciec naprawdę wierzył, że nie posłuchał go tylko ten jeden raz?

Próbował ukryć uśmiech i nie mówił już nic.

ROZDZIAŁ 11

Uziemienie.

Mogło być gorzej. Ale i tak było całkiem źle. Samotne życie Boby stało się jeszcze bardziej samotne przez to, że był uwięziony w mieszkaniu.

Jango Fett był bardzo zajęty; robił interesy z Hrabią oraz Geonosianinem zwanym Arcyksięciem, między innymi. Boba nawet nie próbował się wymknąć.

Uziemienie.

Boba tęsknił za Whrrem.

Właśnie usiłował stworzyć model myśliwca z kawałka drutu, gdy drzwi nagle się otworzyły.

W nich, w pełnej zbroi, stał Jango Fett.

– Chodź, synu. – powiedział tylko.

Tylko tyle musiał powiedzieć!

Boba wstał i poszedł w ślad za swoim ojcem na dół po schodach; cieszył się, że mógł się wydostać z mieszkania, jakkolwiek był ku temu powód. I zawsze czuł się dumny, idąc za swym ojcem. Wiedział, co każdy przechodzień, który ich zobaczył, sobie myśli:

To Jango Fett. A to jego dzieciak, Boba. On też będzie kiedyś łowcą nagród.

W ciemnych, podziemnych korytarzach panowała cisza. Boba zorientował się, że musiało się dzieć coś ważnego. Zastanawiał się, co to może być.

Wiedział, żeby nie pytać. Miał już wystarczające szczęście, że wydostał się z mieszkania.

Na końcu długiego korytarza napotkali spory tłum Geonosian. Niektórzy z nich mieli skrzydła na plecach, inni nie. Umundurowany wartownik przepuścił ich na początek kolejki i do wielkiej sali z wysokim sufitem. Choć pomieszczenie było pełne Geonosian, było ono tak ogromne, że wydawało się prawie puste. Każdy krok i każde odkaszlnięcie tworzyły echo.

Arcyksiężę, wraz z kilkoma innymi ważnymi osobami, usadowiony był w swego rodzaju wysokim pudle na jednym z końców ogromnej sali, a za nimi stało około stu Geonosian. W wielkim pomieszczeniu znajdowała się także dwójka ludzi, która stała, patrząc na nich z dołu. Coś związanego z ich posturą zdradzało Bobie, że są więźniami. Lecz dumnymi, buntowniczymi więźniami.

Jango i Boba wcisnęli się w tłum Geonosian z boku sali.

Ktoś w coś uderzył i w sali nastała cisza. Wszyscy się obrócili, by spojrzeć na więźniów. Boba musiał stanąć na palcach, by móc im się dobrze przyjrzeć.

Jeden z więźniów ubrany był jak Jedi. Był o wiele młodszy od tego, zwanego Obi-Wanem.

Może jest uczniem, pomyślał. Lecz fakt, że ktokolwiek miałby chcieć zostać Jedi, był dla niego niepojęty.

Drugim więźniem była kobieta. I to nie była jaka kobieta. Była najpiękniejszą kobietą, jaką Boba kiedykolwiek widział. Miała delikatne rysy twarzy – takie, jakie sobie wyobrażał, że mogłaby mieć jego matka, gdyby taką miał.

– Zostaliście oskarżeni i uznani za winnych szpiegostwa. – powiedział jeden z Geonosian.

– Czy macie coś do powiedzenia, nim wyrok zostanie wykonany? – wtrącił inny.

Kobieta odpowiedziała dumnie:

– Wykonujesz czyn wojenny, Arcyksiążę. Mam nadzieję, że jesteś przygotowany na konsekwencje.

Arcyksiążę się zaśmiał.

– Budujemy broń, Senatorze. Właśnie tym się zajmujemy. Oczywiście, że jesteśmy przygotowani.

Senator. Boba był wstrząśnięty. Pociągnął ojca za rękę.

– Co tu robi Senator, jako więzień?

– Ciiiiii! – syknął Jango.

– Zróbcie to! – zażądała inna persona, Neimoidianin z cętkowaną, zieloną skórą i jasnoczerwonymi oczami. – Wykonajcie wyrok! Chcę, żeby cierpiała.

To tego drugiego Jedi Boba chciał zobaczyć, jak cierpi, nie tego – a już na pewno nie tą kobietę. Natrętnego Jedi. Tego, którego już kilka razy zabili. Obi-Wana Kenobiego.

Lecz gdzie on był?

Arcyksiążę odpowiedział na pytanie Boby.

– Twój drugi Jedi już na ciebie czeka, Senatorze. Zabrać ich na arenę.

Arena! Wreszcie coś się będzie działo. Na to właśnie Boba czekał.

A jednak, nie wiedzieć dlaczego, strasznie się obawiał.

ROZDZIAŁ 12

Tak jak prawie wszystko inne na Geonosis, arena została wyrzeźbiona w skale. Lecz ponieważ była otwarta u góry, była najjaśniejszym miejscem w całym podziemnym mieście.

Siedzenia były wypełnione podekscytowanymi Geonosianami, wrzeszczącymi i machającymi skrzydłami pomimo tego, że nic się jeszcze nie działo.

Kupcy w jaskrawych strojach przechadzali się po trybunach, śpiewem i gwizdem reklamując tace żywych owadów i inne geonosiańskie przysmaki. Boba to uwielbiał, pomimo tego, że nie kusily go szamoczące się insekty. Nie mógł uwierzyć we własne szczęście. Był poza mieszkaniem, na świeżym powietrzu. Był na arenie, gdzie miał się zaraz rozpocząć spektakl. Ponadto, on i jego ojciec mieli najlepsze miejsca z możliwych.

Siedzieli wraz z arcyksięciem i pozostałymi urzędnikami. Jango Fett i Boba poszli za Hrabią na balkon. Tłum zaczął szaleńczo wiwatować i Boba z początku pomyślał, że może to dla jego ojca, albo Hrabiego.

Wtedy spojrzął na dół, na środek areny, i dostrzegł powód zachowania tłumu.

Więźniowie Jedi.

Byli przywiązani do trzech filarów: młody Jedi do jednego; ten, którego zwali Obi-Wanem do drugiego; piękna kobieta do trzeciego.

Gruby geonosiański urzędnik odchrząknął i wstał, by wygłosić przemówienie.

– Zbrodniarze przed wami zostali skazani za szpiegostwo przeciwko suwerennemu systemowi Geonosis. Ich kara śmierci zostanie wykonana publicznie w tejże arenie.

Tłum wiwatował jak oszalały, a gruby Geonosianin usiadł z powrotem, uśmiechając się, jakby myślał, że wiwaty są dla niego.

Najdrobniejszy geonosiański dostojnik wstał i pomachał przysadzistymi kończynami.

– Niechaj egzekucja się rozpocznie!

Boba miał mieszane uczucia. Nienawidził starszego Jedi, Obi-Wana, któremu się poszczęściło i udało upokorzyć Jango Fetta, podwójnie mu uciekając.

Boba chciał patrzeć, jak umiera.

Co do ucznia Jedi, zupełnie go nie obchodziło, co się z nim stanie. Problem stanowiła kobieta. Nie chciał patrzeć, jak ona ginie. Ani trochę.

Jeden z Neimoidian, jednakże, najwyraźniej chciał. Tarł swoje tłuste rączki tak bardzo, że zaczynały się robić czerwone.

Boba odwrócił wzrok, zniesmaczony. To właśnie przez jemu podobne istoty egzekucje miały złą reputację, pomyślał sobie.

Wtem tłum począł wrzeszczeć jeszcze głośniej.

I nic dziwnego! Trzy zakratowane bramy na obrzeżach areny się otworzyły. Jeźdźcy w wymyślnych strojach, usadowieni na orrayach, dźgały potężne bestie długimi kijami i dzidami, naganając je do środkowego pierścienia.

A jakież to były bestie! Boba kojarzył wszystkie z książek.

Pierwszą był reek, czyli swego rodzaju morderczy rumak z ostrym jak brzytwa rogiem.

Drugą bestią był złoto-grzywy nexu z pazurami i ostrymi kłami.

Trzecią natomiast był acklay, monstrum z wielkimi szczypcami, tak dużymi, że mogłyby z łatwością jednym uszczyknięciem przeciąć na pół orraya.

Tłum był zachwycony, zresztą nic dziwnego. O to właśnie chodziło w arenie do egzekucji. Śmierć dla zabawy.

Bobie zaczynało się to nawet trochę podobać.

Ale więźniom już nie. Kobieta zdołała się jakimś cudem uwolnić z krępującego ją łańcucha i wspiać na szczyt kamiennego filara.

Dalej! Pomyślał Boba. Choć wiedział, że to złe, miał nadzieję, że zdoła się uwolnić. Miał nawet fantazję, że jej w tym pomaga. Potem by wspólnie patrzyli, jak pozostałych dwóch Jedi zostaje zamordowanych.

Oczywiście Boba zdawał sobie sprawę z tego, że taka fantazja jest absurdalna. Nikt nie ucieknie. To, co się działo w arenie, było rozrywką, ale również egzekucją.

Reek biegał po arenie, od czasu do czasu wściekle dźgając rogiem powietrze oraz, przynajmniej tak się zdawało Bobie, ciesząc się szaleńczymi wiwatami tłumu. Po czym wielka bestia nagle spoważniała i zaszarżowała w kierunku słupa młodego Jedi.

KRACH! Bestia wbiła się w filar, podczas gdy Jedi odskoczył na bok tak daleko, jak tylko pozwalał mu na to łańcuch. Następnie wyskoczył w powietrze, ciągnąc za sobą łańcuch, i wylądował na grzbiecie reeka, który był, przynajmniej dla niego, najbezpieczniejszym miejscem na całej arenie.

Fajny ruch! Pomyślał Boba mimowolnie.

Wtedy młody Jedi zrobił coś jeszcze fajniejszego. Okręcił łańcuch wokół rogu reeka tak, że gdy bestia się cofnęła i potrząsnęła głową, łańcuch zerwał się ze słupa.

Teraz Jedi miał łańcuch, którego mógł używać jak bicia.

Boba wiwatował. Tak jak reszta widzów, wiwatował reekowi.

Drugi Jedi, Obi-Wan, uskoczył na bok w chwili, gdy acklay przewrócił słup, łamiąc go na pół – jednocześnie urywając łańcuch.

Nexu skupił się na kobiecie. Z obnażonymi, długimi kłami usiłował dostać się na wierzch filara, którego ona ledwo się trzymała.

Boba zamknął oczy.

Tego nie chciał widzieć.

Tłum jęknął.

Boba otworzył oczy. Jedi Obi-Wan skądś wytrzasnął włócznię. Użył jej jako tyczki, by przeskoczyć nad jednym z orrayów. Goniący go acklay wpadł na zwierzę, przewracając je wraz z jeźdźcem. Acklay rozwarł jeden ze swoich szczypców, po czym -

KRRRRACH!

To jeździec, jeden z zatrudnionych na arenie, został przepołowiony. Lecz tłum Geonosian to nie obchodziło. Oni chcieli tylko widzieć krew. Nie ważne czyją.

W tym samym czasie, uczeń Jedi wciąż był na reeku. Używał łańcucha jako uzdy, kontrolując za jego pomocą bestię.

Kobieta wciąż próbowała się oddalić od nexu, który zdołał rozerwać jej koszulę. Używając łańcucha jako huśtawki, przeleciała w powietrzu, kopniakiem zwalając nexu na ziemię i raniąc mu nogę. Następnie ponownie wylądowała na filarze.

Dalej! Pomyślał znów Boba.

Uczeń Jedi podjechał pod filar na reeku, będącym pod jego całkowitą kontrolą. Kobieta wskoczyła na zwierzę za nim. Nexu splunął i warknął wściekle – po czym został zaatakowany i zabity przez reeka. Jedi zwany Obi-Wanem wskoczył za kobietę, tak, że teraz było ich troje na grzbiecie stworzenia, szarżującego wte i wewte po arenie.

Widownia oszalała. Nie można powiedzieć, że wiwatowali przestępcom, lecz wyraźnie uwielbiali całą tę ekscytację.

Boba również wiwatował. Cieszył się, że kobieta uszła z życiem. Przynajmniej jak dotąd.

To było jednakże już za dużo dla Neimoidianina. Obrócił się do Jango Fetta. Jego małe, paciorkowate oczy były przepełnione wściekłością.

– To nie tak ma wyglądać! Jango, wykończ ją!

Boba przyglądał się, zastanawiając się, co zrobi jego tata. Jango się nie ruszał.

Neimoidianin gapił się na niego.

Jango Fett gapił się na Neimoidianina.

Hrabia przerwał ciszę.

– Cierpliwości, Wicekrólu. – powiedział. – Ona umrze.

Z tłumu wznosił się okrzyk i Boba spojrzał w dół w kierunku areny.

Bramy się ponownie otwierały, tym razem wszystkie cztery. Droideki się wytoczyły, rozkładając się wokół więźniów, ostrza błyszczące złowrogo w świetle słońca.

Zanim Boba mógł nawet mrugnąć, przestępcy na reeku byli już całkowicie otoczeni przez droideki z wszystkich stron.

To był koniec.

Boba zamknął oczy. Nie chciał patrzeć. Wtedy usłyszał coś za sobą.

Delikatne kliknięcie. Otworzył oczy i obrócił się, by ujrzeć okropny widok. Jedi, stojący

za jego ojcem.

Twarz Jedi była ciemna niczym drewno. Oczy miał wąskie i okrutne. Fioletowy miecz świetlny miał wyciągnięty i włączony.

I trzymał go pod gardłem Jango Fetta.

ROZDZIAŁ 13

Geonosianie zamilkli. Droideki się zatrzymały.

Reek, z dwójką Jedi i piękną kobietą na grzbiecie, zamarł w bezruchu. Nad areną nagle zapadła grobowa cisza i wszystkie oczy odwróciły się od Jedi i droideków. W jednej chwili spektakl nie był już na arenie, lecz na widowni.

Wszyscy się gapili na balkon urzędników, gdzie Jedi trzymał klingę miecza świetlnego przystawioną do gardła Jango Fetta.

To my jesteśmy spektaklem! Boba z przerażeniem zdał sobie sprawę.

Jango Fett stał zupełnie nieruchomo. Jego mandaloriańska zbroja była bezużyteczna w kontakcie z mieczem świetlnym Jedi. Jeden ruch nadgarstka u Jedi i mógł stracić głowę.

Boba się bał.

Jak zwykle, Hrabia zachowywał spokój. Boba zauważył, że lubił przeinaczać wszystko w grę, nawet kiepską sytuację. Nawet nagły wypadek. Hrabia zdawał się znać tego Jedi.

– Mistrzu Windu, – powiedział gładkim, wręcz oleistym głosem. – jak miło, że mogłeś do nas dołączyć. Akurat zdążyłeś na chwilę prawdy. Myślę, że tym twoim dwóm nowicjuszom nie zaszkodziłoby nieco więcej treningu.

– Wybacz, że cię zawiodłem. – Odezwał się Jedi. – Koniec tej zabawy.

Jedi wykonał dyskretny gest dłonią. Boba dostrzegł, jakoby światła się włączały na całej arenie.

Miecze świetlne.

Było ich co najmniej sto – niektóre w kątach nieopodal ringu, inne wysoko w trybunach. Wszystkie włączyły się w tej samej chwili.

A każdy był w rękach Jedi.

Skąd oni się tu znaleźli? Jak się tutaj dostali?

Boba był zdumiony tym, jak fatalna jest geonosiańska ochrona. Zaczynał też rozumieć niechętny respekt swego ojca w stosunku do Jedi. Oni mieli swoje sposoby.

Hrabia, jak zwykle, próbował pozostać niewzruszony. Tak się właśnie zachowywał w sytuacji kryzysowej.

– Odważne, acz lekkomyślne, mój stary przyjacielu Jedi. – powiedział. – Mamy miazdzącą przewagę liczebną.

– Nie wydaje mi się. – odpowiedział Jedi zwany Windu.

Przeleciał wzrokiem tłum.

– Ci Geonosianie nie są wojownikami. Jeden Jedi musi być warty sto takich Geonosian.

– Nie myślałem o Geonosianach. – zripostował Hrabia.

Teraz nastąpiła kolej na hrabiego, by dać sygnał dłonią, jeszcze dyskretniejszy i bardziej subtelny od tego, jakim posłużył się Jedi. Boba usłyszał huk, niczym burza na Kamino – niski pomruk. Nagle wszystkie drzwi na arenie się otworzyły i każdy rząd na trybunach był wypełniony droidami bojowymi.

Droidy zbiegły na dół między trybunami, błyskając laserami, strzelając do Jedi i

wszystkiego, co stanęło im na drodze.

Lasery przeleciały nad głową i Boba się schylił. Jedi zwany Windu w jednej chwili z ataku przeszedł na obronę. Odbijał pociski laserowe droidów mieczem świetlnym; wyglądało to niczym szermierka z powietrzem.

Na to tylko czekał Jango Fett. Schylił się i uruchomił wbudowany w karwasz miotacz ognia.

Windu został spowity strumieniem pomarańczowego płomienia i szata mu się zapaliła. Migotała za nim jak wylot rakiety, gdy Jedi zeskoczył z balkonu na ring.

Jango go puścił. Obrócił się i wkroczył do akcji u boku droidów bojowych i geonosiańskiego wojska, obsypując Jedi salwą pocisków laserowych.

Wszyscy Jedi powoli gromadzili się w środku areny, plecami do siebie, wokół reeka z uczniem Jedi, Obi-Wanem i piękną kobietą wciąż na jego grzbiecie.

Trwała zażarta walka!

Reek nie pragnął brać w niej udziału. Wyskoczył w powietrze, zwalając z siebie trójkę jeźdźców. Po czym zaczął biegać w kółko jak oszalały, warcząc i parszcząc, miażdżąc droidy, geonosiańskich żołnierzy, Jedi oraz widzów pod swymi kopytami.

– Dawaj! – krzyknął Boba, tym razem na głos. Nie miało znaczenia, po czyjej był stronie – było to ciekawe widowisko. Krew się lała strumieniami. Ciała latały w powietrzu. A jedyna osoba w ringu, którą lubił, czyli ładna kobieta, nie była ranna, przynajmniej na razie.

Stała pośrodku ringu wraz z Jedi. Ktoś rzucił jej karabin blasterowy. Całkiem niezłe sobie z nim radziła, odstrzeliwując droidy i Geonosian po wszystkich stronach.

Jango stał tuż przy Bobie, strzelając z zabójczą precyzją do Jedi. Boba nigdy wcześniej nie był w tak wielkiej bitwie wraz z ojcem.

Uwielbiał to!

– Nie ruszaj się, Boba! – rozkazał Jango i Boba wiedział, że lepiej dla niego będzie, jeśli usłucha. Dał radę jednakże zerknąć nad barierką, by zobaczyć, co się dzieje w ringu.

Pośród tego całego zamieszania Boba zdołał ujrzeć Jedi zwanego Mace Windu, tego, którego jego tata podpalił. Kosił mieczem świetlnym droidy i Geonosian jednego za drugim, dając innym Jedi przykład swoim zuchwalstwem.

Reek go również dostrzegł. Wielka, rogata bestia odnalazła go w tłumie i zaczęła gonić po arenie. Boba nie mógł się powstrzymać od śmiechu. Jedi zmienił się z łowcy w ofiarę w przeciągu jakiejś jednej sekundy.

Mace Windu spróbował stanąć do walki. Zatrzymał się w poślizgu i zamachnął na reeka mieczem świetlnym. Lecz bestia się nie zatrzymywała, zamiast tego wytrącając mu z ręki miecz świetlny.

Jedi znów poderwał się do biegu.

Jango Fett położył dłoń na głowie Boby i powiedział:

– Zostań tu, Boba. Wróć niebawem!

To, jak się okazało, były ostatnie słowa, jakie kiedykolwiek powiedział swojemu synowi.

ROZDZIAŁ 14

Jango Fett użył plecaka odrzutowego, by dostać się na dół do areny. Wylądował pośrodku

poła bitwy. Reek, który nie potrafił poznać przyjaciela od wroga, usiłował go rozdeptać.

Boba widział, jak jego ojciec robił uniki i przewroty, uskakując bestii z drogi. Ugryzł się w język, by powstrzymać się od wykrzyknięcia czegoś na głos. Tamte kopyta były ostre jak noże.

Lecz Boba daremnie się martwił. Jego tata, po przewrocie, wstał szybko z powrotem na nogi i wycelował bestii z blastera. Parę strzałów i reeka już nie było.

Po czym Jango Fett i Jedi, Mace Windu, stanęli do pojedynku twarzą w twarz, podczas gdy wokół nich trwała zażarta walka.

Boba stał na palcach, by cokolwiek widzieć, jednocześnie starając się nie zostać trafionym przez przeszywające powietrze, niczym wściekle owady, pociski laserowe. Super Droidy Bojowe, potężniejsze niż zwykle droidy bojowe, dominowały teraz w bitwie.

Uniosła się chmura pyłu. Arena była przepelniona wrzaskami i krzykami, odgłosami mieczy świetlnych zderzających się z ogniem laserowym.

– Tato! – Boba krzyknął, próbując cokolwiek zobaczyć.

I wtedy zobaczył.

Zobaczył.

Zobaczył miecz świetlny Jedi przecinający powietrze śmiertelnościami łukiem. Zobaczył pusty hełm swojego ojca przelatujący w powietrzu. Zobaczył ciało swojego ojca upadające na kolana, jakby w modlitwie.

Boba patrzył z przerażeniem, jak martwe ciało Jango Fetta osuwa się na zakrwawiony piasek.

– Nie! – krzyknął. – Nie, to niemożliwe!

Wstrząs od pobliskiego uderzenia pocisku laserowego przewrócił Bobę. Szybko wstał, choć w uszach mu dzwoniło, i zobaczył arenę, całą obsypaną ciałami oraz częściami droidów i droideków.

Zarówno acklay, jak i reek, byli martwi. Jedi byli w zdecydowanej mniejszości, lecz wciąż walczyli. A piękna kobieta była w samym środku tego wszystkiego, strzelając do droidów oraz Geonosian.

Boba nie mógł dostrzec swojego ojca ani Jedi, z którym walczył. Czy to wszystko mu się przyśniło? Zamachnięcie mieczem, hełm lecący w powietrzu; wojownik upadający na kolana i przewracający się niczym drzewo.

Zły sen, doszedł do wniosku. To był tylko zły sen. Jego ojciec wciąż tam był gdzieś na widowni.

Boba wiedział, że nie lubił walczyć ramię w ramię z droidami. Jango Fett gardził droidami, gdyż nie miały wyobraźni. Wyobraźnia, często powiadał, jest najważniejszą bronią wojownika.

Zły sen, myślał, precysyjnie się na dół, w stronę areny.

Pomimo braku wyobraźni, Super Droidy Bojowe wygrywały. Były zaprogramowane, by wygrywać, a przynajmniej, by się nigdy nie poddawać. I wciąż miały nad Jedi ogromną przewagę liczebną.

Droidy na trybunach nie zaprzestawały ognia, a droidy na arenie ciągle się zbliżały, i po krótkim czasie było już tylko jakichś dwudziestu Jedi pozostałych przy życiu.

Stali w kupie na środku areny, plecami do siebie, z wyciągniętymi mieczami świetlnymi. Uwężeni!

Przejęcia były zatłoczone, więc Boba schodził na dół po siedzeniach. Geonosianie wiwatowali, gdy droidy zbliżały się coraz bardziej, przygotowując się do zadania ostatecznego ciosu. Wtedy Hrabia uniósł dłoń.

– Mistrzu Windu!

Cisza.

Boba się zatrzymał. O co chodzi? Widział, jak Jedi, z którym walczył jego ojciec, wystąpił do przodu, pokryty pyłem i potem.

– Walczyłeś dzielnie. – powiedział Hrabia. – Zasłużyłeś sobie na wzmiankę w...

Boba nie słuchał dalej. Wiedział, że to wszystko kłamstwo. To nie mogła być prawda.

Kontynuował skakanie z siedzenia na siedzenie, na dół w kierunku ringu, przepychając się przez tłum.

Nie mógł myśleć. Nie chciał myśleć. Chciał tylko wejść na ring i znaleźć swojego ojca, Jango Fetta, który powiedziałby mu: Nie przejmuj się, Boba, to był tylko sen. Zły, zły sen.

– Teraz to już skończone. – odezwał się Hrabia. – Poddajcie się, a oszczędzimy wam życie.

– Nie będziemy twoimi zakładnikami, Dooku.

– W takim razie przykro mi, stary druhu, – powiedział Hrabia. – Będziecie musieli zostać zniszczeni.

Hrabia przytaknął i droidy miały właśnie otworzyć ogień na małą grupkę Jedi, kończąc całą sprawę, gdy nagle kobieta spojrzała w górę.

Na całej arenie Geonosianie zaczęli spoglądać w górę.

Boba się również zatrzymał i spojrzał do góry.

Kanonierki zbliżały się z nieba.

Jedna, dwie, trzy kanonierki... łącznie sześć.

Wylądowały wokół ocalałych Jedi. Drzwi pojazdów się otworzyły i ze środka wysypali się żołnierze, zbiegając po rampach, otwierając ogień na droidy. Boba dobrze znał tych żołnierzy, choć był zdziwiony, że ich tutaj widział. Jedi zaczęli wycofywać się na statki, wciąż blokując strzały laserowe mieczami świetlnymi.

Walka znów rozgorzała, choć Boba tego prawie nie zauważył. Znow biegł, przeskakując z siedzenia na siedzenie, na dół w kierunku areny, gdy kanonierki się wzniosły, z Jedi jeszcze wbiegającymi po rampach. Niektórzy ledwo co trzymali się samymi palcami, gdy pojazdy się unosiły.

Uciekali! Nie tylko piękna kobieta, ale i Jedi, którego on i jego ojciec tak nienawidzili! Ten Obi-Wan; ten uczeń Jedi; ten ciemnoskóry wojownik zwany Mace Windu. Oni wszyscy uciekali!

Bobę to nie obchodziło. Jedyne, co go obchodziło, to znalezienie swojego ojca. Zbiegł na dół po ostatnim rzędzie, przepychając się przez oszołomiony tłum.

Wspiął się na mur i zeskoczył na arenę.

– Tato! Tato! Gdzie jesteś?!

Piasek i pył pod jego stopami był nasiąknięty krwią. Ciała leżały w stertach z każdej strony.

Droid, który został przestrelony na pół, miotał się w kółko, kopiąc broń, części droidów oraz ciała we wszystkie strony.

Jedna część potoczyła się w stronę Boby, uderzyła o jego stopę, i się zatrzymała.

Boba spojrzał na dół i zobaczył – hełm bojowy Jango Fetta.

Tata! Ze swoim wąskim wizjerem, był on równie znajomy, co twarz jego ojca. A nawet bardziej.

Był zakrwawiony. Był pusty. Był tak pusty i tak ostateczny, jak kropka na końcu książki.

Koniec. Koniec historii.

Gdy upadł na kolana i podniósł hełm swojego ojca, Boba wiedział, że koszmar, który zobaczył z widowni, nie był żadnym snem.

To była prawda. To wszystko była prawda.

ROZDZIAŁ 15

Nikt nie zauważa dziesięcioletniego dzieciaka, szczególnie w środku bitwy.

Szczególnie, gdy kroczy w oszołomieniu, przechodząc nad ciałami i śladami krwi, nie zwracając uwagi na pociski laserowe przelatujące mu obok głowy lub kończące swój żywot w zakrwawionym piasku u jego stóp.

Szczególnie, gdy ignoruje krzyki żywych oraz wrzaski umierających; gdy ignoruje nawet własny płacz.

Boba był niewidzialny.

Był niewidzialny nawet dla siebie samego. Nie wiedział, co myśli, ani co czuje, ani co robi. Był zdrtwiał. Czuł się jakby znajdował się w czymś śnie.

Niósł pusty hełm swojego ojca w obydwu rękach, wlokąc się po arenie pośród ostatków bitwy; żołnierze wykańczali ostatnie droidy, a kanonierki odlatywały z uratowanymi Jedi, podczas gdy spanikowani Geonosianie opuszczali arenę w popłochu.

Niósł zniszczony fragment zbroi swojego ojca przez zniszczone fragmenty swojego świata.

Czy myślał, że da radę z powrotem poskładać swojego ojca?

Czy on myślał, że będzie mógł z powrotem poskładać swoje życie?

Boba nic nie myślał. Był zdrtwiał. Wszystko było skończone, roztrzaskane.

Wszystko się rozpadło na części. Części leżały wszędzie. Części droidów, części ciała, martwi i umierający. Ci, co jeszcze żyli, oraz część tych, co już nie, strzelali z blasterów jak opętani.

Boba przeszedł obok kręcącego się w kółko droida, któremu brakowało prawej nogi. Oddawał strzał za strzałem w każdym kierunku, obsypując laserami górne kondygnacje areny i spanikowany tłum Geonosian.

Pociski energii trafiały w ziemię wokół niego, wyrzucając w powietrze gejzery piasku. Bobę to nie obchodziło. Boba szedł dalej.

Kilku przykulonych żołnierzy w białych zbrojach przebiegło obok niego, jednocześnie strzelając. Jeden z nich złapał Bobę za ramię i rzucił go na ziemię.

– Schył się!

WHARROOOMM!

Eksplozja rozerwała powietrze w miejscu, w którym przed chwilą znajdował się Boba. Upadł płasko na brzuch.

W H A R R O O O M M!

Kolejny wybuch – i Boba poczuł piasek wrzynający mu się w policzki. Ukrył twarz w ramionach, nieopodał pustego hełmu. Gdy otworzył oczy i spojrzał do góry, zobaczył -

Tata! Stał nad nim jego ojciec, Jango Fett, spoglądając na niego z góry. Boba wyciągnął do ojca rękę i -

Wtedy sobie uświadomił, w jak wielkim był błędzie. To nie był jego ojciec. To był żołnierz, który mu właśnie uratował życie, albo jakiś inny. Gdyż, pod zbroją, wszyscy wyglądali dokładnie tak samo. To był jego bliźniak, z tym, że starszy. To był jego ojciec, ale młodszy.

To był jeden z klonów.

Podciągając się na nogi, Boba z przerażeniem zdał sobie sprawę, że żołnierze, którzy wysypali się z kanonierek, to była armia klonów, którą jego ojciec szkolił na Kamino. I byli tutaj, pierwszy raz w akcji, na Geonosis. Niezwyciężeni, tak jak jego ojciec przewidział. Ale walczyli po złej stronie. Walczyli dla znieprawionych Jedi!

Nie! Pomyślał, zaciskając pięści. W miejscu rozczarowania pojawiło się uczucie zdrady i wściekłości.

– Tylko dzieciak! – żołnierz powiedział, – Myślałem, że jesteś jednym z nas. – i pobiegł za innymi klonami w kierunku odlatującej kanonierki.

– Nie jestem jednym z was! – Boba wymamrotał w złości. – I nigdy nie będę. Jestem prawdziwym synem Jango Fetta.

Arena była prawie że pusta. Arcyksięcia nie było nigdzie widać. Hrabiego też nie. Walka była prawie skończona. Ostatnia kanonierka odlatywała, wystrzeliwując do góry przez otwór nad areną.

Boba ledwo ją zauważył. Patrzył na dół, nie do góry. Nie obchodziły go już klony. Miał zadanie do wykonania. Jedno, ostatnie zadanie dla Jango Fetta.

Robiło się ciemno. Pierścienie Geonosis tworzyły pomarańczową poświatę na niebie. Z hełmem w ramionach, Boba chodził w kółko, wlokąc się po wilgotnym od krwi piasku. Wreszcie, znalazł to, czego szukał. Natknął się na to, prawdę powiedziawszy.

To było ciało jego ojca, wciąż odziane w pozostałe elementy mandaloriańskiej zbroi, wybrudzone i pokrwawione.

Boba położył hełm na piersi swojego ojca, po czym usiadł obok niego. Był zmęczony i przyszedł czas na odpoczynek. Poczul łzę powoli spływającą mu po policzku. Otarł ją nadgarstkiem.

Było za wcześnie, żeby płakać. Boba wciąż miał zadanie do wykonania.

Było ciemno, a przynajmniej szaro, czyli najciemniej, jak mogło być na Geonosis. Bitwa przeniosła się poza arenę i pokryła znaczną część terenu.

Geonosianie – teraz pod kontrolą zwyciężskich Jedi – przystali drużyny dronów, by zajęły się ciałami poległych. Zostali oni wrzuceni w ogień. Roztrzaskane i zniszczone droidy miały więcej szczęścia. Były pozbierane i wywiezione na zewnątrz, na kupę złomu, w celu recyklingu.

Boba siedział przy ciele swojego ojca, gdy maszyna z wielką łyżką zbierającą mechaniczne części, przejechała obok, robiąc drugie okrążenie po zakrwawionej arenie.

Boba wiedział, co musi zrobić. On nie był taki, jak klony. Był prawdziwym synem Jango Fetta. To było jego zadanie, by zaopiekować się ciałem swojego ojca. I dopóki wykonywał swoje zadanie, mógł nie skupiać się na uczuciach, których nie chciał odczuwać.

Maszyna skamlała i szarpała się, gdy poruszała się od jednego miejsca do drugiego, ślepo przeszukując piasek w poszukiwaniu więcej części. Boba zaciągnął ciało swojego ojca przed łyżkę ładowarki, skąd zostałyby ono podniesione. W swej mandaloriańskiej zbroi bitewnej, Jango Fett sprawiał dla ładowarki wrażenie, jakby był droidem. Zepsutym droidem.

Boba wsiadł na łyżkę i usiadł obok swojego ojca. Trzymał hełm w rękach, gdy robot-ładowarka wyjechał z areny i wjechał na długi szlak prowadzący na pustynię.

Boba wykonywał swoje zadanie. Tylko to się liczyło.

Póki co.

Złomowisko droidów było pod mesą, gdzie Boba zobaczył Jedi w jego myśliwcu. Było ono ogromną stertą zniszczonych obwodów, pojedynczych rąk i nóg, kół i głów, stalowych noży i torsów.

Ładowarka wysypała swój towar i zaczęła znów wracać do stalagmitowego miasta przez podziemny tunel. Boba zwałował ciało swojego ojca z kupy złomu i wyniósł je na skalną mesę.

Mesa wydawała się lepszym miejscem pochówku. Spokojniejsza, i z pewnością piękniejsza.

Boba zdjął ze swojego ojca zbroję i położył ją na bok. Ostatni raz popatrzył na silne ręce i nogi, które go chroniły. Po czym, używając zniszczonej ręki droida jako łopaty, pochował swojego ojca w piaszczystym grobie z widokiem na pustynię.

Ramię droida tworzyło literę „J”, i Boba znalazł drugie, które wygiął, by wyglądało na „F”. Ułożył je na wierzchu grobu.

Jango Fett. Martwy, ale nie zapomniany.

Boba nagle poczuł się bardzo zmęczony. Usiadł obok zbroi swojego ojca. Żałował, że nie miał niczego do jedzenia.

Zatrząsał się. Wiatr pustyni był zimny.

Boba oparł się o hełm i popatrzył na wielkie pomarańczowe pierścienie otaczające planetę, jakby trzymające ją w swoich objęciach. Widok był spokojny...

Boba spał spokojnie tej nocy. Jego sny (które zapomniał) dotyczyły matki, której nigdy nie miał oraz ojca, którego, ku jego szczęściu, miał. Obudził się rano, wypoczęty i w zaskakująco wygodnej pozycji. Wtedy zauważył włochatego piaskowego węża, który oplótł się wokół niego, gdy spał, zapewniając mu ciepło.

Zaskoczony, Boba podskoczył. Wąż piaskowy zaskowyczał i odpelznął w pośpiechu.

Ten sam? Zastanawiał się Boba.

Nie miało to znaczenia. To, co miało znaczenie, to to, że wykonał swoje zadanie, na razie. Jego ojciec był pochowany. Niewielki grób z „JF” na nim był tego dowodem.

Patrząc na niego, Boba zdał sobie sprawę, jak bardzo będzie tęsknił za ojcem, który go ochraniał, prowadził, pilnował – i kochał. Teraz był sam, zupełnie sam.

I po raz pierwszy od długiego czasu, rozplakał się.

ROZDZIAŁ 16

Przyszła czas na trzeźwe myślenie, czas na planowanie. Czas na działanie.

Wszystko w swoim czasie, mawiał Jango Fett.

W pierwszej kolejności należało się zająć mandaloriańską zbroją: kombinezonem, hełmem, całym uzbrojeniem. Kiedyś to wszystko będzie twoje, powiedział jego ojciec.

Lecz póki co Boba był jeszcze za mały, by nosić ją na sobie, czy nawet ze sobą. Więc wyczyścił ją i schował w małej jaskini pod urwiskiem. Później po nią wróci.

Następnie była kwestia czarnej książki, którą dał mu ojciec, a raczej wiadomości-która-nie-była-książką.

Tam znajdziesz to, czego będziesz potrzebował.

Boba będzie musiał wrócić po nią do mieszkania. To stwarzało mały problem, biorąc pod uwagę chaos stworzony przez bitwę. Ponadto został przez ojca uziemiony, co znaczyło że mógł nie być w stanie otworzyć drzwi.

Boba wyciągnął z jaskini hełm, by go ze sobą zabrać, na wszelki wypadek. Jako, że Jango nosił go praktycznie zawsze, z pewnością znajdowałyby się w nim kody odblokowujące.

Następnym kłopotem było dostanie się do stalagmitowego miasta. Zrobię to, myślał sobie, słysząc odgłos części rozwalonych droidów wysypywanych pod mesę.

Pierwszy ładunek tego dnia.

Póki co idzie nieźle, pomyślał, siedząc na łyżce ładowarki, która przewoziła go przez podziemny tunel. Tata byłby dumny.

Poczuł zbliżającą się smutną myśl, lecz nie pozwolił jej przypłynąć. Później się znajdzie czas na to wszystko. Na razie najlepszym sposobem uhonorowania swojego ojca było życie zgodne z kodeksem Jango Fetta.

To będzie trochę wymagało, ale z pewnością będzie tego warte. To był plan Jango dla swojego syna. Teraz to był plan Boby dla siebie samego.

Niosąc w rękach hełm, Boba pobiegł po długich schodach do mieszkania. Minał po drodze tylko dwóch albo trzech Geonosian, którzy ledwo go zauważyli.

Są pewne zalety bycia dziesięcioletkiem. Jedną z nich jest to, że nikt nigdy nie podejrzewa, że robi się coś poważnego.

Drzwi otworzyły się, gdy tylko ich dotknął. Mieszkanie było prawie że puste. Jango Fett zawsze podróżował bez zbędnego bagażu. Boba zjrzał do pudełka, w którym przechowywał swoje ubrania i stare zabawki, w poszukiwaniu czarnej książki.

Nie było jej tam.

Nagle sobie przypomniał swoją ostatnią wizytę w bibliotece w Mieście Tipoca. Uświadomił sobie z przerażeniem, co zrobił. Wmieszał czarną książkę razem z tymi z biblioteki. W końcu wyglądała dokładnie tak jak książka! Zwrócił ją z pozostałymi!

To dlatego Whrr chciał go przywołać z powrotem. Lecz Boba za bardzo się wtedy spieszył, żeby go słuchać.

Informacje, których Boba potrzebował, znajdowały się na Kamino!

Boba wrzucił parę ubrań i hełm do torby podróźnej jego ojca. Próbuąc nie zostać zauważonym, poruszał się obszernymi korytarzami stalagmitowego miasta aż do platformy do lądowania, gdzie zaparkowany był *Slave I*.

Nauczył się, że najlepszym sposobem na niezostanie zauważonym jest niemartwienie się o to, że zostanie się zauważonym. To było łatwe. Miał inne zmartwienia.

Czy będzie mógł sam pilotować statek, bez ojca czuwającego nad nim?

Był tylko jeden sposób, by się przekonać.

Boba przyspieszył kroku.

Przy drzwiach na platformę do lądowania stał strażnik. Pomimo tego, że Jedi przejęli planetę, Geonosianie wciąż pilnowali swojego mienia.

Prześlizgnięcie się obok strażnika nie było zbyt trudne, gdyż był on bez reszty pochłonięty przez konwersację z innym Geonosianinem.

Tak się przynajmniej wydawało Bobie.

– Dokąd się wybierasz? – spytał wartownik, zastawiając wyjście blasterem.

– Mój tata, – Boba odpowiedział, pokazując torbę. – powiedział mi, żebym załadował to do statku.

– Którego?

Boba wskazał palcem *Slave'a I*. Był on najmniejszym pojazdem na platformie. Jego pokryta obtarciami i wgnieceniami powierzchnia stawała w kontraście z ogromną prędkością i manewrowością statku.

– Dobra, dobra. – powiedział Strażnik, odwracając się z powrotem do swojego kolegi. – Ale masz tylko pięć minut. Potem cię wygnam.

Nie było czasu na sprawdzenie, czy *Slave I* był załadowany i zatankowany. Jango przeszkolił Bobę we wszystkich procedurach, które należy wykonać przed startem, lecz

powiedział mu również, że są sytuacje, w których trzeba je pominąć. Sytuacje, kiedy trzeba zaufać szczęściu.

Boba się pospieszył. Strażnik mógł lada chwila przyjść go szukać.

Gdy tylko był w kokpicie, założył hełm na głowę i usiadł na torbie. Dla zewnętrznego obserwatora wyglądał jak dorosły. Taką miał przynajmniej nadzieję.

Trzymał palce skrzyżowane, uruchamiając silniki i włączając napęd, dokładnie tak, jak został nauczony.

Jak na razie to całkiem nieźle. Wartownik przy drzwiach nawet pomachał mu od niechcenia na pożegnanie, gdy Boba wzniósł *Slave'a I* nad platformę i wystrzelił w bezchmurne niebo Geonosis.

Statek wydawał się znajomy, prawie jak dom. Boba był wdzięczny za ten cały czas, który spędził na ćwiczeniach, a nawet na udawaniu. Udawanie to pewny rodzaj ćwiczenia.

Paliwa nie było zbyt wiele, ale wystarczająco, by dotrzeć na Kamino. Był w drodze. Szkoda, że taty tutaj nie ma, żeby mnie widział, pomyślał sobie. Wiem, że byłby dumny.

Ta myśl, zamiast uszczęśliwić Bobę, sprawiła, że zaczął go ogarniać smutek. Spróbował się z niego otrząsnąć.

Miał inne zmartwienia.

Na przykład punkcik na tylnym ekranie.

To był myśliwiec Jedi, na jego ogonie.

Jedi musieli zostawić go z tyłu, by wypatrywał maruderów, pomyślał. Czy jest tu, żeby mnie śledzić, zmusić do lądowania, czy zestrzelić?

Boba nie miał zamiaru się przekonywać.

Wiedział, że nie ma szans uciec myśliwcowi. A jako że nie miał zbyt dużego doświadczenia z uzbrojeniem *Slave'a*, nie mógł go też zestrzelić. To pozostawiało tylko jedną opcję.

Będzie musiał go przechytryć.

Zamiast kierować się w kosmos, Boba zanurkował do kanionów i mes, które otaczały stalagmitowe miasto. Wykorzystując manewrowość pojazdu, przeleciał przez wąskie kaniony, skręcając to w prawo, to w lewo, tak szybko, jak tylko dał radę.

Myśliwiec się zbliżał. Ale to nie miało znaczenia. To było częścią planu Boby.

Przypomniał sobie pewną sztuczkę, której nauczył go jego tata. Sztuczkę, która została raz wykorzystana na samym Jango, lecz tylko raz (żadna sztuczka nie działała nigdy na Jango Fetta dwa razy).

Boba zwolnił w miejscu, gdzie kanion dochodził do rozwidlenia, rozchodził się na prawo i lewo. Odpalił pocisk w ścianę kanionu po prawej stronie, po czym skręcił w lewo i wylądował na wąskiej skalnej półce pod klifem.

Wyłączył silniki i czekał. I czekał.

Jeśli sztuczka zadziała, to Jedi zobaczy ślady wybuchu na ścianie kanionu i zawróci. A jeśli nie zadziała...

Jeśli nie zadziała, to Jedi się pewnie pojawi z za rogu, oddając serię strzałów z dział laserowych. Albo zażąda wsparcia i niebo wypełni się myśliwcami. Albo...

Po jakimś czasie Boba zrezygnował z czekania i włączył ponownie silniki. Sztuczka się udała. Myśliwiec Jedi zobaczył eksplozję i zawrócił.

Boba uśmiechnął się z satysfakcją, wznosząc się ponownie w powietrze. On myślał, że się rozbił o ścianę!

Boba wyciągnął *Slave'a I* do pierścieni i dalej. Nigdy wcześniej nie był sam w kosmosie.

Czuł się samotny na planecie po śmierci swojego ojca, a szczególnie po jego pochowaniu.

Lecz to było coś innego. Jest samotność i samotność.

Nie ma miejsca bardziej osamotnionego niż kosmiczna próżnia. Ponieważ kosmos to nicość.

W kosmosie jest tylko nic. Zero. Brak. A brak braku...

Witaj w Wielkim Nie Ma.

Boba wstrząsnął się na myśl o ogromie nicości wokół siebie – lecz szybko odsunął tę myśl na bok. Nie miał czasu na Wielkie Nie Ma. Pomyślał o swoim ojcu i jego kodeksie: Łowca nagród nigdy się nie rozprasza szerszą perspektywą. Wie, że to małe rzeczy się liczą.

Boba miał zadanie do wykonania. Musiał znaleźć czarną księżkę.

Wślizgnął się w czarną orbitę, ponad pierścieniami.

Geonosis wyglądało stąd wręcz spokojnie. Trudno było uwierzyć, że właśnie rozegrała się tam wielka bitwa, w której zginął jego ojciec – i setki, tysiące, innych.

Był to piękny widok, lecz Boba nie zamierzał tracić czasu na podziwianie widoku. Już przygotowywał statek do skoku w nadprzestrzeń.

Jako że był to powrót, proces był bardzo prosty. Ponieważ Kamino było ostatnim miejscem, w którym był *Slave I*, jedyne, co Boba musiał zrobić, to odwrócić współrzędne w nawikomputerze.

Statek zajmie się resztą. Więc zrobił to.

I statek zrobił swoje.

ROZDZIAŁ 17

W hiperprzestrzeni, wszystkie sektory galaktyki są połączone. Blisko jest daleko, a daleko jest blisko.

Statek wpadał w dziurę. Nie, wypadał z dziury.

Boba był z powrotem w „normalnej” przestrzeni kosmicznej.

Dryfował na orbicie wokół czegoś, co wyglądało jak kłębek chmur zszyty miejscami błyskawicami.

Burzliwe Kamino!

Dom. Albo przynajmniej najbliższa rzecz do domu, jaką Boba kiedykolwiek miał.

Boba przetarł oczy, przeciągnął się i naprowadził *Slave I* na ścieżkę lądowania. Szare chmury przelatywały obok jak podarte flagi. Błyskawice błyskały z każdej strony; grzmoty grzmiały. Gdy mały statek zwalniał coraz bardziej, wychodząc z prędkości naddźwiękowej i powoli zbliżając się do powierzchni planety, krople deszczu zaczęły uderzać o transpatalowy kokpit.

Boba wyregulował prędkość i powoli skręcił w stronę światła Miasta Tipoca, zniżając się do lądowania. Wielokrotnie widział, jak robił to jego ojciec, lecz to był pierwszy raz, kiedy sam był u steru.

Najdziwniejsze było to, że wcale nie czuł się samotnie. To było tak, jakby Jango tam był i stał za nim. Boba prawie że czuł jego wielką rękę na swoim ramieniu.

Gładko! Wyłączył silniki i osunął się na platformę do lądowania z ledwo wyczuwalnym wstrząsem.

Pogoda w Mieście Tipoca była normalna, czyli właśnie trwała wielka burza – co nie przeszkadzało Bobie. Nie chciał być zauważony.

Miał na sobie hełm, żeby, na wypadek gdyby ktoś widział, jak *Slave I* ląduje, pomyślał, że

u steru siedzi osoba dorosła. Ale nie musiał się fatygować.

Platforma była opuszczona. Nie było nikogo w pobliżu.

Boba zarzucił poncho i wygramolił się z kokpitu, po tym jak ustawił systemy środowiskowe statku na „zaopatrywanie”, by magazynowały powietrze i wodę, czyli rzeczy, których na Kamino było pod dostatkiem.

Szczególnie wody – lał deszcz!

Mała biblioteka na końcu ulicznego korytarza miała wyłączone światła. Boba zapukał do drzwi.

– Whrr, jesteś tam?

Czy był za późno? Albo za wcześnie? Boba nie miał pojęcia, która jest godzina w Mieście Tipoca.

– Whrr, proszę. Otwórz!

Światło za szparką się zapaliło.

Boba żałował, że drzwi się nie mogły otworzyć, żeby nie musiał tu stać i moknąć w deszczu, lecz nie było takiej możliwości.

Wysunął się nad nim płócienny dach, by uchronić go przynajmniej przed deszczem. Usłyszał znajome warkotanie i klikanie dobiegające ze środka.

– Whrr, to ja.

– Boba? Wróciłeś! Gdzie byłeś? Co się stało?

Krótkie pytanie wymagające długiej odpowiedzi. Boba opowiedział Whrr całą historię, od czasu jak on i jego ojciec opuścili planetę w pośpiechu, do okropnej sceny w arenie, gdzie widział, jak Jedi zabił jego ojca.

– Och, Boba, to okropne. Jesteś sierotą w wieku zaledwie dziesięciu lat. Czy masz wystarczająco jedzenia? Czy masz pieniądze?

– Nie do końca. – Boba przyznał. – Kilka krakersów. Dodatkową parę skarpetek.

– Hmmmm. – Whrr zafurczał.

– Nic mi nie będzie. – Boba zapewnił. – Lecz muszę odzyskać coś, co dał mi ojciec. Przez przypadek zostawiłem to tutaj.

– Książka?

– Tak! Pamiętasz! W każdym razie wygląda jak książka. Jest czarna, nie ma niczego na okładce. Oddałem ją przez przypadek, razem z ostatnimi książkami, które zwróciłem, zanim odleciałem.

– Zaraz wrócę.

Boba usłyszał warkot i kliknięcie, brzęk i klekot. Po chwili wrócił Whrr – z dobrymi wieściami!

– Proszę bardzo, – powiedział, podając czarną książkę przez szczelinę. – Lecz jest kara, wiesz?

– Co?!

– I to całkiem spora.

– Ale to nawet nie jest do końca książka. A poza tym ja jej nie wypożyczałem. Jest moja! Po prostu ją zostawiłem z tobą.

– Dokładnie, – Whrr powiedział. – Co oznacza, że biblioteka jest ci winna, zaraz zobaczę, dwieście pięćdziesiąt kredytów.

– To niemożliwe – – Boba zaczął.

– Wybacz. – Whrr powiedział, podając pieniądze przez szparę. – Kara to kara i musi zostać zapłacona. A teraz idź się zajmij swoimi sprawami, Boba, i powodzenia. Wpadnij mnie

odwiedzić kiedyś. Jeśli kiedykolwiek wrócisz.

Łapie, Boba pomyślał. Jestem trochę wolny, ale łapie.

– Dziękuję Ci, przyjacielu, – powiedział. – Kiedyś wrócę na Kamino. Wpadnę wtedy i cię odwiedzę, obiecuję.

– Do widzenia, Boba. – Whrr powiedział przez szparkę. Światło się wyłączyło i Boba usłyszał dziwny odgłos, jakby ktoś sapał.

Musi być deszcz, pomyślał, bo wszyscy wiedzą, że droidy nie płaczą.

Boba nie mógł uwierzyć własnemu szczęściu! Za dwieście pięćdziesiąt kredytów mógł kupić prowiant i zapasy, nawet ubrania, i jeszcze by mu zostało na paliwo. To było kluczowe, jako że nie umiał dostać się do kont swojego taty.

I miał czarną książkę! Pomacał ją pod swoim poncho, gdzie ją trzymał, by ją uchronić przed deszczem.

Zanim opuści planetę, chciał się udać w jeszcze jedno miejsce.

Chciał raz jeszcze zobaczyć mieszkanie, w którym mieszkał wraz z ojcem, w którym spędził pierwsze dziesięć lat swojego życia (choć, oczywiście, większości z tego nie pamiętał).

Na szczęście było to po drodze z powrotem na platformę do lądowania.

Gdy Boba jechał do góry windą, zastanawiał się nad zamkami. Czy zostały one zmienione? Czy wciąż będą rozpoznawały jego siatkówki i odciski palców?

Nigdy się nie przekonał. Drzwi były szeroko otwarte.

Mieszkanie było ciemne. Było to trochę przerażające. Wcale już nie wydawało się domem.

Boba zamknął drzwi i właśnie miał zamiar zapalić światło, gdy usłyszał głos za sobą.

– Jango.

To była Taun We.

Boba z trudnością widział jej sylwetkę w przyćmionym świetle z zewnątrz. Siedziała na podłodze z długimi nogami podwiniętymi pod spód i schowanymi pod jej długim ciałem.

– Widziałam lądującego *Slave I*.

Boba przeszedł przez pomieszczenie i stanął naprzeciwko niej.

Taun We popatrzyła na niego, zaskoczona.

– Boba?! Czy to ty? Gdzie jest twój ojciec?

Boba zawsze myślał o Taun We jako o przyjacielu. Więc usiadł i jej opowiedział.

– Ty biedne dziecko. – powiedziała, lecz jej słowa były chłodne i mechaniczne. Boba zdał sobie sprawę, że wcale nie była aż takim przyjacielem.

– Co miałaś zamiar powiedzieć mojemu ojcu? – spytał.

– Jedi, – powiedziała. – Przybyli i wzięli armię klonów, po tym jak ty i twój ojciec odlecieliście. Chcieli również przesłuchać Jango Fetta. Teraz, jako że nie żyje, będą chcieli ciebie.

– Mój ojciec nienawidził Jedi.

– Nie mam żadnych uczuć w stosunku do Jedi. – powiedziała Taun We. – Oczywiście, my, Kaminoanie, nie mamy zbyt wiele uczuć w stosunku do czegokolwiek. To nie w naszej naturze. Lecz uczciwość wymaga, bym ci powiedziała, że cię szukają. Tak samo, jak im powiedziałam, że *Slave I* wylądował w Tipoca City, i że ty i twój ojciec prawdopodobnie tutaj wrócicie.

– Co zrobiłaś?!

– Muszę być dla wszystkich uczciwa. – powiedziała Taun We. – Taka jest moja natura.

– Dzięki wielkie! – powiedział Boba, kierując się w stronę drzwi. Nie pofatygował się, by je za sobą zamknąć. Nie mógł uwierzyć, że Taun We go zdradziła dla Jedi. A on myślał, że była

przyjacielem. Wtedy sobie przypomniał kodeks swojego ojca: Żadnych przyjaciół, żadnych wrogów. Tylko sojusznicy i przeciwnicy.

Ale co z Whrr? Pomyślał, przywołując turbowindę. Czy Whrr nie był przyjacielem? To wszystko było zbyt skomplikowane, żeby o tym myśleć!

Boba był wciąż zagubiony w myślach, gdy winda nadjechała. Drzwi się rozsunęły i –
To była Jedi. Kobieta, młoda i wysoka.

Boba odsunął się na bok i pozwolił jej przejść. Zachowywał spokój, nie zatrzymywał się.

– Siri? Jesteś za późno. – odezwała się Taun We ze środka mieszkania.

– Zmywam się stąd! – powiedział Boba, otwierając zsypany śmieci i wskakując do niego.

Zamknął oczy i wstrzymał oddech, gdy spadał – na dół, na dół, na dół...

To nie spadania się obawiał, lecz lądowania. Sterta śmieci na dole byłaby albo twarda, albo...

OOOMPH!

Miękka! Na szczęście była to tylko sterta ubrań i papierów.

Boba był zaskoczony, że przyłapał się na uśmiechu, gdy się otrząpywał i wybiegał przez drzwi, ku *Slave I* – i lotowi!

ROZDZIAŁ 18

Jedna dobra rzecz na burzliwym Kamino – jest dużo wylądowań elektrycznych, które ukrywają ślady, nawet przed radarem.

Boba Fett wiedział, że gdy się już oderwie od platformy, będzie trudny do śledzenia. Ukrył *Slave'a I* w gęstych, szarych chmurach, zmienił kurs parę razy, by być pewnym, po czym przebił się przez atmosferę do ciszy kosmosu i długiej, powolnej orbity.

Z powrotem do Wielkiego Nie Ma.

Wreszcie nadszedł czas, by zajrzeć do czarnej książki. Wiadomość, która, jego ojciec obiecał, by go prowadziła, po tym, jak on zginie.

Mocno ścisnął okładkę, przygotował się na silne pociągnięcie. Lecz książka otwarła się z łatwością. Zamiast stron i druku, Boba zobaczył ekran.

Było dokładnie tak, jak Jango mówił. To wcale nie była książka, lecz ekran z wiadomością. Na ekranie pojawiał się obraz, planeta...

Nie, twarz. Stawała się wyraźniejsza.

Twarz ojca Boby.

Obraz był niewyraźny, lecz to był on. Oczy Jango Fetta były szeroko otwarte. Wyglądał jednak smutno; bardziej, niż kiedykolwiek.

– Boba.

– Ojcze!

– Posłuchaj, Boba. Widzisz to tylko dlatego, że mnie już nie ma. Bo jesteś sam. Sam.

Boba nie musiał być o tym informowany. Czuł się bardzo samotnie.

– Tak to już jest. Wszystko się kiedyś kończy. Nawet miłość rodzica, a ja dla ciebie jestem nawet więcej, niż tylko rodzicem. Pamiętaj o mnie, i pamiętaj, że cię kochałem.

– Będę, Ojcze. – wyszeptał Boba, mimo że jego ojciec nie mógł tego usłyszeć. – Nigdy cię nie zapomnę.

– Są trzy rzeczy, których potrzebujesz, teraz, kiedy mnie nie ma. Mogę ci je tylko wskazać. Musisz je jednak sam znaleźć.

Sam. Te słowa miały chłodny, znajomy wydźwięk.

– Pierwsza to samowystarczalność. W tym celu musisz odszukać Tyranusa, by uzyskać

dostęp do kredytów, które dla ciebie odłożyłem. Druga to wiedza. Po wiedzę musisz się udać do Jabby. On ci jej nie da; musisz ją zabrać. Trzecia i najważniejsza to siła. Znajdziesz ją wszędzie wokół siebie, w różnych postaciach. Lecz uważaj, czasami jest niebezpieczna. I jeszcze jedno, Boba...

– Tak, Ojcze! Cokolwiek!

– Trzymaj się tej książki. Miej ją blisko siebie. Otwieraj ją, gdy będziesz jej potrzebować. Będzie cię prowadziła, kiedy ją będziesz czytał. To nie jest historia, lecz Droga. Podążaj tą Drogą, a pewnego dnia będziesz wspaniałym łowcą nagród. Byłem tego pewien, gdy żyłem, i wciąż jestem tego pewien...

Obraz zanikał.

– Ojcze!

Ekran wygasł. Jango Fett zniknął. Boba zamknął czarną książkę. Okładka zablokowała się z delikatnym kliknięciem.

Wow.

Boba nie wiedział czy się śmiać, czy płakać, więc zrobił obie te rzeczy, siedząc z czarną książką na kolanach. To był tylko ekran, tylko nagranie. Lecz dla niego było to coś bardzo cennego. Było to jego jedyne połączenie z ojcem.

To był dom i rodzina.

Czuł się mniej samotny.

Boba delikatnie poklepał czarną książkę i wsunął ją do swej torby lotniczej, odkładając ją na później.

Po czym przeciągnął się i rozejrzał wokoło.

Slave I był wysoko na orbicie. Pokryta burzami planeta Kamino była daleko w dole. Wyglądała jak kulka zrobiona z błota i śniegu. Z każdej strony, z góry i z dołu, gwiazdy migotały.

Boba przeskanował systemy środowiskowe i energetyczne *Slave'a*. Wystarczająco na jeszcze jeden skok hiperprzestrzenny. Potem będzie musiał zatankować i uzupełnić zapasy.

Boba odchylił się do tyłu i zaplanował swój kolejny krok.

Wszystko w swoim czasie, mawiał zawsze Jango Fett. Według niego, albo przynajmniej jego pamięci, pierwszym zadaniem Boby było odnalezienie Tyranusa. Hrabiego. Człowieka, dla którego Jango stworzył armię klonów.

Boba pierwszy raz go spotkał osobiście na Geonosis. Lecz był pewien, że opuścił on planetę podczas chaosu stworzonego przez bitwę w arenie.

Nie wydawał się typem, który by się poddał Jedi.

Gdzie się mógł udać?

Boba zamknął oczy i przypomniał sobie głos swojego ojca, rozmawiającego z Jedi w Mieście Tipoca.

„– Zwerbował mnie człowiek imieniem Tyranus na jednym z księżyców Bogdenu...”

Księżyce Bogdenu. Zawsze to coś.

Boba przeszukał bazę danych w statku. Bogden był bagnistą, niezamieszkałą planetą w odległym sektorze, otoczoną przez liczne małe satelity.

Księżyce Bogdenu...

Boba wstukał współrzędne. Po czym uderzył w przycisk hipernapędu i liczył na łut szczęścia.

Gwiazdy zaczęły się rozmywać, gdy statek wkraczał w nadprzestrzeń. Boba odchylił się do tyłu i skrzyżował palce na szczęście.

– Już lecę, Tato. – wyszeptał, zamykając oczy. – Zrobię, co w mojej mocy, byś był ze

mnie dumny.

ROZDZIAŁ 19

Pomimo tego, że Boba wyszukał Bogden w bazie danych, nie był przygotowany na to, co zobaczył, gdy *Slave I* wyskoczył z nadprzestrzeni. Doprawdy „liczne satelity”, nie ma co!

Krążył wokół czegoś, co przypominało garść kamyczków wyrzuconych w powietrze.

Bogden był małą, szarą planetą otoczoną rojem malutkich księżyców. Boba naliczył ich dziewiętnaście, nim się poddał. Były we wszystkich możliwych rozmiarach i kształtach. Najmniejszy był ledwo wystarczająco duży, by statek mógł na nim wylądować, podczas gdy największy miał miejsce na góry, miasto albo dwa, a nawet wyschnięty ocean.

Dzień i noc były bez wyraźnego porządku na tych maleńkich światach. Niektóre były pogrążone w ciemności, inne oświetlał blask słońca. Wiele z nich miało atmosfery; większość jej jednak nie miała. Boba zeskanował każdego, szukając jakiegoś większego miasta z kosmoportem; albo chociaż małego miasta z kosmoportem; albo przynajmniej jakiegokolwiek miasta.

Wiele spośród księżyców wydawało się niezamieszkanym. Boba odrzucił jeden gruszkokształtny głaz tryskający lawą oraz drugi, który od bieguna do bieguna pokryty był nagrobkami. Zdecydował, że taki, który cały pokryty był drapieźnie wyglądającym bluszczem, też nie byłby najlepszym pomysłem. Nie zdecydował się na takiego, który był praktycznie jedną wielką lodową bryłą, ani na takiego, który był niczym prócz popiołów i tłących się zarzewi.

Wreszcie Boba zlokalizował księżyc, który był w miarę sferyczny, w połowie oświetlony, a w połowie ciemny. Przynajmniej wyglądał na zamieszkanym.

Skierował się w stronę największego skupiska światła, jakie mógł znaleźć. Atmosfera była cienka i płytka i *Slave I* w krótkim czasie znalazł się w ścieżce podejścia do lądowania nad czymś, co wyglądało jak sporej wielkości miasto okupujące kilka dolin.

Skan ID zdradził nazwę księżycy – Bogg 4.

Boba skierował się ku świetlistemu klinowi, który wyglądał, jakby mógł być platformą do lądowania. Wyłączył autopilot i zaczął sprowadzać go na dół.

Wszystko ładnie i gładko, gdy nagle-

Coś zatrzęśło statkiem, niczym silny wiatr.

Boba szarpał się z kontrolami, usiłując spowolnić opadanie.

Potem sobie przypomniał dowcip, który brzmiał: „To nie spadanie było złe. Tylko ostatni centymetr.”

Tak też było w tej sytuacji. Wykonał perfekcyjne lądowanie, nie licząc finałowej części.

KRACH!

Slave I był wywrócony na bok. Boba spróbował go wyprostować, lecz statek ani rusz. Według panelu kontroli zniszczeń, wygiął jeden z elementów podwozia.

Przynajmniej nikt nie widział. Platforma do lądowania wyglądała na opuszczoną. Boba wyszedł z kokpitu, by przyrzeć się zniszczeniom.

Kręciło mu się w głowie. Źle to wyglądało. Dwa elementy podwozia były w porządku, lecz trzeci był mocno wygięty.

Nie miał pojęcia, jak to naprawić. Wyciągnął torbę lotniczą z kokpitu i przeszukał ją, próbując znaleźć instrukcję naprawy. Lecz była jedynie czarna książka, którą ojciec mu zostawił.

Boba wyciągnął ją z torby. Może będzie w niej coś, co mogłoby wykorzystać. Jeśli ją

kiedykolwiek potrzebował, to teraz!

Książka otworzyła się z łatwością. Na ekranie w środku były dwie linijki tekstu, wyglądające jak coś z kodeksu Jango Fetta.

Nigdy nie mów całej prawdy podczas handlu. Przysługa to inwestycja.

Kurcze! Nic o podwoziu, pomyślał Boba, zamykając książkę.

Wkładał ją z powrotem do torby, gdy usłyszał zza pleców wysoki głos.

– Czyj statek?

Boba się odwrócił.

Zbliżał się mały humanoid. Miał paciorkowate oczy, długi pysk i wąskie nogi zakończone kopytami. Boba rozpoznał go po brodzie na podbródku i fioletowym turbanie, jako H'drachi z planety M'Haeli. Lecz zmodyfikowanym: zamiast prawej ręki miał wielozadaniowe narzędzie.

Miał na sobie kombinezon ze słowami:

UCZCIWY GJON

SERWIS STATKÓW KOSMICZNYCH

wyszitymi nad kieszenią.

– Mój statek. – Boba powiedział. Po czym przypomniał sobie, że ma tylko dziesięć lat i na tyle wygląda. – To znaczy – mojego ojca.

– A gdzie ten twój ojciec? – spytał H'drachi.

– W tej chwili niedostępny. – odpowiedział Boba. – Ale możesz ze mną rozmawiać.

– Uczciwy Gjon, do usług, – powiedział H'drachi. – To jest moja platforma do lądowania.

Co oznacza, że jesteś mi winien opłatę za lądowanie. I wygląda na to, że mogłyby Ci się też przydać naprawy.

– Na to wygląda. – przyznał Boba. Wciąż kręciło mu się w głowie. Włożył rękę do kieszeni, by sprawdzić, czy wciąż są tam kredyty, które Whrr mu dał. Miał je wydać na jedzenie i paliwo. Ale teraz...

– Ile za naprawę jednego elementu podwozia? – spytał.

– A ile masz? – Uczciwy Gjon spytał. Boba miał właśnie powiedzieć, że dwieście pięćdziesiąt kredytów, gdy przypomniał sobie o czarnej książce.

Nigdy nie mów całej prawdy podczas handlu.

– Dwieście kredytów. – powiedział.

Uczciwy Gjon uśmiechnął się do niego.

– Cóż za zbieg okoliczności. Dokładnie tyle kosztuje.

Może książka rzeczywiście pomaga w naprawach, pomyślał Boba, wręczając Uczciwemu Gjonowi dwieście kredytów. Wciąż miał pięćdziesiąt na własny użytek.

Dodatkowo, z uprzejmości, H'drachi postanowił odpuścić mu opłatę za lądowanie.

Boba dał Uczciwemu Gjonowi kody dostępu do *Slave'a I* i skierował się w stronę światła pobliskiego miasteczka. Gdy tylko zaczął iść, zrozumiał, dlaczego lądowanie było tak trudne. Coś trzęsło Boggiem 4. Ledwo zdołał ująć dziesięć kroków, zanim wylądował w rowie.

Podciągnął się na nogi – po czym znów upadł na kolana. Bardziej niż kiedykolwiek kręciło mu się w głowie. To było tak, jakby ziemia drżała pod jego stopami. A jednak wszystko wyglądało stabilnie.

Kamienie pozostawały w miejscu. Ziemia się nie ruszała.

Boba ponownie wstał, ostrożnie. Zrobił jeden krok, potem następny. Całkiem nieźle póki co. Zawroty w głowie przychodziły i odchodziły i, wreszcie, Boba pojął, co sprawia, że się tak dziwnie czuje.

To grawitacja! Była silna w jednej chwili, po czym słaba w następnej; to przechylając go

do przodu, to do tyłu. Przychodziła i odchodziła falami.

Boba znów się podjął, ostrożnie, jedną ręką trzymając się kamiennej ściany, która biegła wzdłuż ulicy. Gdy doszedł już do obrzeży miasta, poruszał się w miarę prostej linii.

Tak mu się przynajmniej wydawało.

– Widzę, żeś nowo przybyły. – odezwał się głos zza jego pleców. – Nowo przybyły, tak.

Boba obrócił się i zauważył chudego mężczyznę w długim, czarnym płaszczu. Wyglądał prawie jak człowiek, z tym, że miał białe pióra na głowie zamiast włosów, a jego długie palce były nieco pletwowate. Jego twarz miała zmarszczony, zmartwiony wyraz, jakby została skurczona.

– Poznaję po twoim chodzie. – powiedziała istota w długim, czarnym płaszczu. – Po chodzie, tak.

– No i? – spytał Boba. Od zawrotów głowy robiło mu się niedobrze i nie był w nastroju na uprzejmości. – I dlaczego grawitacja tutaj przychodzi i odchodzi niczym wiatr?

– Ależ trafiłeś w sedno, – mężczyzna, czy czymkolwiek owa istota była, powiedział. – To księżycy krzyżujące się, to niwelujące się nawzajem, to podwajające swe przyciąganie. Przez to trudno się chodzi. Dlatego my, lokalni, wolimy szybować, tak.

Boba poszukał wzrokiem skrzydeł schowanych pod długą kurtką, lecz nie dostrzegł żadnych.

– Jesteś więc lokalny, z tego świata?

– Bogg 4? Nie. Z wszystkich księżyców, z wszystkich księżyców, tak. Tak w ogóle to nieźle sobie radzisz. Nieźle, tak.

– Co?

– Chodzenie. Prawie że się przyzwyczaiłeś, tak.

Przedstawili się sobie i razem poszli do miasta.

Aia (gdyż tak miał na imię) wyjaśnił Bobie, że księżycy Bogdenu były swego rodzaju rajem dla wygnańców, gdzie żadne nakazy nie były przestrzegane i nikt nie zadawał pytań.

– Co to znaczy? – spytał Boba.

– To znaczy, że nikogo nie dziwi, iż dziesięcioletni chłopiec sam włóczy się po mieście. Nikogo, tak.

I była to prawda. Boba był tutaj, na Bogg 4, jeszcze bardziej niewidoczny, niż na Kamino czy Geonosis. Ulice miasta były wypełnione stworzeniami z różnych zakątków galaktyki, wszystkich poruszających się tym samym, zataczającym się chodem i nie zwracających najmniejszej uwagi na Bobę i jego towarzysza.

Grawitacja przychodziła i odchodziła falami, w miarę jak księżycy na niebie wzajemnie się okręwały, czasem ciemne, czasem jasne. Bobie wciąż kręciło się w głowie. Ale powoli się przyzwyczajał.

– Więc powiedz mi – odezwał się Aia – dlaczego tu przybyłeś, tak?

– Krótka wizyta. – powiedział Boba ostrożnie. Nie był pewien, komu mógł ufać, a komu nie. – Szukam pewnego człowieka, który wynajął pewnego łowcę nagród.

– Dużo łowców nagród na Bogg 4. – powiedział Aia. – Niebezpieczne osoby, tak. Przybywają tutaj, by się wymieniać informacjami. By zdobyć nowe prace. Zwykle się trzymają tylko między sobą, tak. Nigdy ze swoimi ofiarami. Nie masz ceny na swojej głowie, prawda?

Boba się zaśmiał.

– Nie ma szans. Jestem synem łowcy nagród.

– Tutaj, w takim razie. – Aia powiedział, zatrzymując się przed niską tawerną. Na drewnianym znaku przy wejściu widniały słowa NIEBIAŃSKA NAGRODA. – Tutaj się

trzymają łowcy nagród, tak.

Boba zajrzał do środka przez okno. Placówka była prawie że pusta. Widział długie stoły, okapujące świece i dymiące ognisko.

– Poczekam tutaj, w takim razie. – powiedział. – Podczas gdy mój statek jest naprawiany przez Uczciwego Gjona.

– Uczciwego Gjona? – spytał Aia – Ojoj, tak.

– Coś nie tak?

– Znaczy się nie, nic. Nieważne. Zostawię cię tutaj, tak.

– Nie wchodzisz? – spytał Boba. Aia był jego jedynym przewodnikiem. Ostatnią rzeczą, jakiej pragnął, było bycie samemu w tym dziwnym miejscu.

– Nie, moja, yy... religia tego zabrania, tak.

– Twoja religia, jasne! – nagle w otwartych drzwiach Niebiańskiej Nagrody pojawiły się dwie postacie. – Nie wchodzi, ponieważ jest złodziejem! – powiedziała Jedna z nich. – I wie, że my o tym wiemy! – dodała druga.

Po prawej stronie stał podobny do ptaka humanoid ze skóropodobną skórą i szerokim dziobem. Boba poznał, że to Diollanin. Po lewej stał zielony, gadowaty Rodianin. Boba wiedział, że przedstawiciele obydwu tych gatunków często zostawali łowcami nagród.

– Ten człowiek jest poszukiwany za kradzież kieszonkową! – powiedział Diollanin.

– Ode mnie też ukradł. – oznajmił Rodianin.

Złapali Aię, każdy z nich biorąc go za jedną z jego cienkich rąk.

– O, nie, tak, nie! – Aia krzyczał, podekscytowany. Wił się i kręcił, lecz nie był w stanie się wyswobodzić.

Boba pomyślał o czamej książce: Przysługa to inwestycja. Może gdyby zrobił Ai przysługę, wyszło by mu to na korzyść. Przynajmniej miałby przewodnika.

– Ile jest wam winny?

– Dwadzieścia kredytów. – powiedział Diollanin.

– U mnie tak samo. – zgodził się Rodianin.

– Proszę. – Boba wyliczył czterdzieści kredytów, po dwadzieścia na każdego. To go pozostawiało z dziesięcioma. Zastanawiał się, czy to wystarczy, by kupić sobie coś do jedzenia.

Rodianin i Diollanin puścili Aię, przeliczając kredyty. Gdy tylko miał wolne ręce, Aia otworzył swój czarny płaszcz jak latawiec, zgiął nogi i wyskoczył. Prosto do góry. Poszybował w górę, nad dachami i zniknął z pola widzenia.

Boba wpatrywał się, rozczarowany. I po jego inwestycji.

Rodianin i Diollanin ledwo to zauważyli. Obrócili się i weszli z powrotem do tawerny. Boba poszedł za nimi. Z pewnością coś byli mu winni. Zrobił im w końcu przysługę, oddając pieniądze.

– Może moglibyście mi pomóc? – zwrócił się do nich. – Jesteście łowcami nagród?

– Jasne, że jesteśmy. – odpowiedział ze śmiechem Rodianin. – A jesteś chciany?

– Jestem synem Jango Fetta. – powiedział Boba. – Może go znaliście?

Diollanin i Rodianin popatrzyli na Bobę z nowym zainteresowaniem. Zaprowadzili go do stołu i zawołali oberżystę, który przyniósł jedzenie i herbatę. Herbata była gorzka, lecz sprawiała, że Bobie nie kręciło się tak bardzo w głowie.

Prawdę mówiąc, im więcej pił, tym mniej mu się kręciło w głowie.

– Znaliśmy twojego ojca. – powiedział Rodianin.

– Wspaniały łowca nagród i wspaniały człowiek. – dodał Diollanin.

Boba opowiedział im całą historię tego, jak jego ojciec zginął i wszystko, co się

wydarzyło od tamtego czasu. Miał nadzieję, że mógł im zaufać, gdyż byli kolegami jego taty.

Z jakiegoś powodu rozmawianie o śmierci jego ojca sprawiło, że Boba poczuł się lepiej. Przez to wydawało się to mniej jak tragedia i bardziej jak opowieść. Boba zastanawiał się, czy to właśnie dlatego ludzie sobie opowiadali historie – by przejść nad nimi do porządku dziennego.

– Mój ojciec wspominał o kliencie, – powiedział Boba. – Pomyślałem, że mogę go tu znaleźć.

– Jego imię?

– Hrabia, yy... – Boba sobie nagle przypomniał, że Tyranus to imię, którego nikt nie powinien znać. – Hrabia Dooku. – powiedział, używając imienia, jakim Hrabia się posłużył na Geonosis.

– Dooku? – powiedział Diollanin.

– To nie tutaj! – stwierdził Rodianin.

– Musisz się udać na Coruscant! – powiedzieli jednogłośnie.

– Jesteście pewni? – spytał zmieszany Boba. Coruscant była planetą, gdzie Republika i Jedi mieli swoją siedzibę. Dlaczego miałby tam być Tyranus?

– Tak, tak, na pewno! – powiedział Rodianin. – Na sto procent. Idź do tawerny Złoty Mankiet na niższych poziomach. – dodał Diollanin.

– Powiedz barmanowi, kogo szukasz, – powiedzieli jednocześnie. – On będzie natychmiast wiedział, co robić!

– Dzięki! – powiedział Boba. Chciał zapłacić za siebie, lecz łowcy nagród nalegali, że mu stawiają. Boba raz jeszcze im podziękował i skierował się z powrotem w stronę platformy do lądowania, gdzie zostawił swój statek pod opieką Uczciwego Gjona.

Gdy tylko wyszedł, Diollanin i Rodianin popatrzyli na siebie nawzajem i wyszczerzyli zęby w uśmiechu.

– To najlepszy rodzaj łupu. – powiedział jeden z nich.

– Taki, który sam się dostarcza i oszczędza nam paliwa... i kłopotu! – dopowiedział drugi.

Efekt herbaty zaczął przestawać działać, gdy Boba zbliżał się do platformy do lądowania Uczciwego Gjona. Znów mu się kręciło w głowie. Nie aż tak jak przedtem, ale trochę.

Księżycy Bogdenu przetaczały się po niebie. Niektóre były małe, niektóre duże. Niektóre były jasne, inne ciemne.

Boba mógł z trudnością uwierzyć we własne szczęście. Wybrał odpowiedni księżyc, Bogg 4. Odnalazł odpowiednich łowców nagród, Diollanina i Rodianina. I już za pierwszą próbą udało mu się zlokalizować Tyranusa. Nawet zjadł kolację, i nie kosztowało go to ani kredytu!

Przysługa to inwestycja. W zamierzeniu miał zrobić przysługę Ai. Zamiast tego zrobił ją łowcom nagród, i opłaciło mu się to.

Teraz jedyne, co musiał zrobić, to wsiąść w swój statek i polecieć na Coruscant.

Był tylko jeden problem. Platforma do lądowania była pusta.

Slave I zniknął.

ROZDZIAŁ 20

Boba usiadł na ziemi, pod krążącymi, wirującymi księżycami Bogdenu. Znów mu się kręciło w głowie. Efekt herbaty już zupełnie przestał działać.

Jego statku kosmicznego nie było. A wraz z nim czarnej książki zawierającej kodeks Jango Fetta. Razem z nim hełmu jego ojca – jego dziedzictwa.

Nawet jego pieniądze zniknęły, nie licząc dziesięciu kredytów.

Zniknęły, wszystko zniknęło. Jak on mógł być tak głupi? Jak mógł tak zawieść pamięć po swoim ojcu? Jak mógł tak ślepo zaufać Uczciwemu Gjonowi? Włożył twarz w dłonie i jęknął z konsternacji i samo-wstrętu.

Wtedy usłyszał czyjś głos.

– Tak, tak, tak.

To był Aia.

– Tego się właśnie bałem. – powiedziało chude stworzenie. – Dlatego właśnie wróciłem. Lecz było już za późno. Ten Uczciwy Gjon to oszust, tak.

– Ty też. – odrzekł Boba. – Kradniesz.

– Tylko moje palce kradną. – odpowiedział Aia, pokazując obie błoniaste dłonie. – I tylko to, co potrzebuję, tak. A żeby to udowodnić, pomogę ci znaleźć Uczciwego Gjona. Wcale nie taki uczciwy, tak.

Boba poczuł cień nadziei.

– Gdzie poleciał?

– Do swojego sklepu. Rozbiera tam statki na części. Żeby nie mogły być namierzone, tak.

– To musimy się pospieszyć! – Boba skoczył na nogi. – Zanim zaczniesz rozbierać *Slave'a*

I. Gdzie jest ten jego sklep?

Aia wskazał palcem do góry, w kierunku chropowatego, wirującego księżyca.

– O, nie! – Boba z powrotem usiadł. – Zabrał go na inny świat!

– Tak, oczywiście. Myśli, że nie możesz go śledzić, tak.

– Ale ma rację! Przecież nie mogę!

– Ależ możesz – powiedział Aia. – Chodź. Chodź ze mną, tak. – po czym wziął rękę Boby i podciągnął go na nogi.

– Gdybyś był starszy i większy, mogłoby to stanowić problem, tak. – Aia prowadził Bobę ścieżką w górę. – Tak jak jest, może nam się akurat udać, tak.

– Co się może udać? – ścieżka skręcała i prowadziła w górę skalistego wzgórza nad platformą do lądowania.

– Zobaczysz, tak.

Boba zobaczył – i nie spodobało mu się to, co zobaczył. Ścieżka kończyła się klifem.

Boba złapał Aię za jego potężną rękę i się wychylił, spojrział w górę, spojrział w dół. Na niebie widział ciemność, kilka księżyców i wiele gwiazd. Pod sobą widział tylko ciemność.

Znów mu się kręciło w głowie.

– Fale grawitacyjne wznoszą się i opadają w zależności od księżyców, tak. – powiedział Aia. – Jeśli dostaniesz się wystarczająco wysoko i będziesz wiedział, co robisz, możesz na nich szybować. Niczym ptak na wietrze, tak.

Nagle Bobę oświeciło. I nie spodobało mu się to.

Odsunął się od zbocza klifu, ale nie wystarczająco szybko. Aia już wkraczał w cienie powietrze – i ciągnął Bobę ze sobą.

Boba spadał.

Nagle przestał spadać.

Wznosił się, szybował, najpierw powoli, potem coraz szybciej. Unosił się w powietrzu.

– Musisz wykorzystywać wektory, tak. – powiedział Aia, którego płaszcz był szeroko rozłożony, jak latawiec, jak skrzydła. Scisnął dłoń Boby. – Gdy jeden wektor się podda, przechodzimy na następny, tak.

Miejmy taką nadzieję, pomyślał Boba.

Aia ciągnął go ze sobą. Spadali, po czym znów poczuli się wznosić.

W jednej chwili byli ciężcy, a w następnej zupełnie nieważcy.

Boba starał się ignorować narastający mu w gardle guzek tak długo, jak tylko mógł.

Po czym się poddał.

– Fuuu! – powiedział Aia. – Gdybym wiedział, że to zrobisz... byłbym... tak...

– Wybacz. – odrzekł Boba.

Coraz mniej mu się kręciło w głowie. Im wyżej szybowali, tym było łatwiej. Jedyne, co Boba musiał robić, to trzymać się dłoni Ai i robić to, co on. Inne postacie wlatywały i wylatywały z chmur wokół nich. Wszystkie były niewielkie, jak Aia.

Aia im pomachał.

– Jesteśmy kurierami, tak. – powiedział Bobie. – Jesteśmy jedynymi wystarczająco lekkimi, by podróżować między światami. Ty też, tak. Dopóki trzymasz się mnie.

Nie martw się, pomyślał Boba, ściskając dłoń Ai. Trzymam się ciebie!

Robiło się zimno. Boba spojrzał w dół. Natychmiast tego pożałował.

Bogg 4 był odległą, małą kulą skał i pyłu. Gwiazdy były za jasne. Trudno było oddychać.

Jesteśmy prawie w kosmosie! pomyślał. Poszybowaliśmy za wysoko!

– Tam, Bogg 11, tak. – Aia powiedział, wskazując przed siebie, gdzie jeszcze mniejszy, ciemniejszy księżyc właśnie krzyżował orbitę z Boggiem 4. Grawitacja działała na oba księżyce, splatając ich chmury w długie strugi, jak glony.

– Piana jest tam, gdzie atmosfery się stykają. – wyjaśnił Aia. – Tam wykonujemy przeskok, tak.

– A jeśli chybimy...

– Próżnia jest zimna. – powiedział Aia. – Wieczność jest zimna. Trzymaj się, wstrzymaj oddech, tak!

Boba wstrzymał oddech. Lecz nie mógł się trzymać. Jego palce były ścierpłe i zdętwiałe przez zimno. Poczul, jak dłoń Ai mu się wyslizguje.

– Nie! – krzyknął niemo, jako że nie było powietrza, którym mógłby krzyczeć na głos.

Powietrza, którym mógłby oddychać.

Zamknął oczy. Kręcił się, nieważki, dryfując do Wielkiego Nie Ma. Nicość próżni. Śmierci.

Oto nadchodzę, Tato, pomyślał sobie. Było to uczucie prawie że spokojne...

Wtem poczul grawitację przyciągającą go niczym palce, delikatnie. Spowalniająca kręcenie się. Ściągającą go na dół.

Boba nie mógł już dłużej wstrzymać oddechu. Wziął głęboki wdech, oczekując zimnej próżni w płucach.

Zamiast tego poczul powietrze. Nie było zbyt słodkie, ale pomimo tego smakowało Bobie wyśmienicie.

Otworzył oczy.

Aia znów trzymał go za rękę.

Szybowali w przestworzach innego świata. Mniejszego, bardziej zadymionego świata.

– Bogg 11, tak. – powiedział Aia.

Zlecieli na dół, zataczając szerokie pętle. Boba dostrzegł *Slave'a I* zaparkowanego w wąskiej skalistej dolinie, otoczonego stertami części statków kosmicznych.

– Na szczęście dopiero zaczyna. Zdążyliśmy, tak.

Wylądowali na zboczu małego, stromego wzgórza. Boba upadł i się potoczył. Wstał,

oczyścił się z kurzu, i zaczął zbiegać kamienistą ścieżką w kierunku *Slave'a I*.

Ucziwy Gjon zauważył ich i gapił się na nich.

– Co, jeśli go nie odda? – spytał Boba.

Podniósł kamień. Żałował, że nie ma przy sobie blastera.

– Nie wygłupiaj się, – powiedział Aia. – Odłóż kamień.

Złodzieje mają honor, tak?

Tak. Na to wygląda. W pewnym sensie, przynajmniej.

– Nie można kogoś winić za to, że próbował! – powiedział Ucziwy Gjon, podnosząc ręce do góry. Uśmiech brodatego H'drachi wydawał się szczery.

Boba pokręcił głową w rozdrażnieniu i spojrzął do kokpitu. Torba lotnicza wciąż tam była. Hełm i czarna książka były w środku. Może złodzieje mieli honor mimo wszystko.

Boba spróbował otworzyć książkę – otworzyła się.

Pieniądze to władza.

Niezbyt pomocne, pomyślał, jako że jestem spłukany. Zamknął książkę i włożył ją z powrotem do torby.

Ucziwy Gjon obserwował każdy ruch Boby.

– Co tam pisało?

– Pisało, że masz mi oddać kasę.

– Nie ma szans! – zaprotestował Ucziwy Gjon. – W końcu naprawiłem ci podwozie, nie?

– Zrobił to, owszem. – przyznał Aia.

– Nie można kogoś winić za to, że próbował. – powiedział Boba. Wszyscy się roześmiali.

Śmiejąc się, Boba spróbował obmyślić swoje następne posunięcie.

ROZDZIAŁ 21

Boba doszedł do wniosku, że lubi tych wygnańców z księżyców Bogdenu. Przystępstwo było dla nich grą. Byli podobni do łowców nagród, w pewnym sensie.

– Coruscant to niebezpieczne miejsce. – powiedział Ucziwy Gjon, gdy Boba powiedział mu, dokąd się wybiera.

– I drogie. – dodał Aia. – Nie masz pieniędzy, tak?

– Mam dziesięć kredytów. – odpowiedział Boba. – To mi będzie musiało wystarczyć

– Są sposoby na zarobienie pieniędzy, tak. – powiedział Aia.

– Na przykład?

– Na przykład przestępstwo. – odrzekł Ucziwy Gjon. – Akurat wiem o pewnej sumie pieniędzy, która jest szmuglowana z Boggu 2 na Boggu 9. Kilku gości z dobrym statkiem i odrobiną szczęścia mogłoby wziąć to, czego potrzebują.

– Ty mógłbyś być jednym z tych gości, tak. – powiedział Aia.

Boba był zaintrygowany. Pieniądze to władza.

– Mówisz o porwaniu? O rabunku?

– O przechyceniu. – wytłumaczył Ucziwy Gjon. – Nie do końca rabunek, gdyż nie są to prawdziwe pieniądze. To sfalszowane kredyty. Są produkowane na Boggu 2, po czym wysyłane za pomocą balonów na lekkie powietrze na Boggu 9, gdy księżycy się odpowiednio ułożą.

– Atmosfery się stykają i balony przemieszczają się z jednego świata na drugi. – powiedział Aia. Tak jak my to zrobiliśmy, tak.

– Szmuglerska sztuczka. – rzekł Uczciwy Gjon. – A jeśli zdejmemy jeden balon po drodze, nikt się nie zorientuje.

– Pomyślą, że sobie po prostu odleciał, tak. – przyznał Aia. – Oczywiście, dorwanie jednego w locie wymaga bardzo dobrego pilota z bardzo dobrym statkiem. Ty możesz być za młody, tak.

– Chcę jedną trzecią. – powiedział Boba. – Kiedy wyruszamy?

– Za jakieś dziesięć minut. – odpowiedział Aia. Popatrzył na Uczciwego Gjona i mrugnął do niego. – Mówiłem, że się zgodzi, tak?

Z kosmosu, Bogg 2 wyglądała jak sucha gruda kurzu, najeżona górami. Boba powoli go okrążył, po czym wprowadził *Slave'a I* w orbitę tuż nad atmosferą.

– Bez świateł, bez elektroniki, bez radia. – odezwał się Uczciwy Gjon. – Tym sposobem nas nie zauważą. Sztuczka polega na dorwaniu balonu, gdy będzie się wznosił. Jeśli się zbliżysz, zaczepię go do włazu.

– Powinniśmy przepuścić pierwszy, żeby się niczego nie spodziewali, tak. – powiedział Aia. – I dopaść następnego.

– Dobry plan. – przyznał Boba.

– Patrz, – powiedział Uczciwy Gjon. – Numer jeden nadlatuje.

Podał Bobie lornetkę. Boba ujrzał czerwony balon wznoszący się z górskiej doliny.

Podał lornetkę Ai. Balon wznosił się szybko w słabej grawitacji. Przeleciał obok, zmierzając w stronę burzliwej przestrzeni między księżycami. Pod nim wisiała gondola napakowana belami kredytów.

Kasa! pomyślał Boba, szczerząc zęby w uśmiechu. Pieniądze to władza. Gdyby tylko widział go teraz jego ojciec. Wiedział, że byłby dumny.

– Zbliża się. – powiedział Uczciwy Gjon. Drugi balon był już w drodze. Wisiała pod nim jeszcze większa gondola. Jeszcze więcej kasy, pomyślał Boba.

Aia śledził go za pomocą lornetki, a potem gołego oka, podczas gdy Boba operował statkiem.

– Cofnij o włos, tak. Teraz do przodu. Teraz do góry, tak. Ej!

Uczciwy Gjon otworzył rampę i wciągnął balon do środka.

– Mam go!

– Super – powiedział Boba. – Teraz zamknijmy rampę i wynośmy się stąd.

– Jeszcze jeden. – odezwał się Aia.

– Myślałem, że w planie był drugi. – zauważył Boba. – Zobaczą nas, jeśli zostaniemy za długo. Wyślą kogoś za nami.

– Jeszcze jeden nie zaszkodzi. – rzekł Uczciwy Gjon. Wziął do ręki garść nowiutkich kredytów.

Czemu nie? Pomyślał Boba. Im więcej, tym lepiej. Jeśli w czarnej książce tego nie pisało, cóż, powinno było!

Z powrotem cofnął statek i utrzymywał go nieruchomo wbrew zmiennej grawitacji wirujących księżyców.

– Numer trzy! – powiedział Aia. Uczciwy Gjon poszedł opuścić rampę.

Czerwony balon był coraz bliżej. Uczciwy Gjon wyciągał rękę, by wciągnąć go do środka. Gondola pod nim była jeszcze większa, niż u poprzedniego.

Więcej kasy! Im więcej, tym lepiej, pomyślał Boba, uśmiechając się.

– Ups, – usłyszeli głos Uczciwego Gjona. – Mały problem.

– Jesteście wszyscy aresztowani za fałszerstwo. – odezwał się oschły głos.

Boba obrócił się, by ujrzeć Uczciwego Gjona w drzwiach. Nie był sam. Obok niego stał żołnierz w mundurze ochrony, trzymając blaster.

O, nie! pomyślał.

– To nie nasze pieniądze. – powiedział Aia. – To wszystko to pomyłka, tak. Oddamy je!

– Kogo obchodzą pieniądze? – spytał żołnierz z okrutnym uśmiechem. – Oficjalnie konfiskuję ten statek w imię prawa. To kontrabanda.

Nigdy! Pomyślał Boba. Poddać *Slave I*, statek jego ojca? Lecz co mógł zrobić, gdy miał blaster skierowany w twarz?

Wtem przypomniał sobie sztuczkę, której nauczył go Jango.

– Odsuń się, dziecko, – powiedział żołnierz. – I podnieś ręce tak, żebym je widział. Natychmiast!

– Tak jest. – Boba ustawił moc na PEŁNĄ W PRZÓD i wcisnął OPÓŹNIENIE 4. Po czym stanął z rękami nad głową i powoli odsunął się od sterownicy. Odliczał po cichu: cztery, trzy, ...

Żołnierz się wyszczerzył.

– Już lepiej. – powiedział, wskazując blasterem otwarty właz. – A teraz idźcie złapać trochę świeżego powietrza, cała wasza trójka.

Dwa, jeden.

Boba się rzucił, łapiąc się oparcia fotela pilota w chwili, gdy silniki z rykiem obudziły się do życia i *Slave I* nagle wyskoczył w przód. Żołnierz, Aia i Uczciwy Gjon przelecieli przez powietrze i uderzyli w tylną ścianę, zwalając się na siebie.

BUM!

GRZMOT!

Boba trzymał się fotela i wprowadził statek w ostry zakręt. Uczciwy Gjon i Aia złapali oszołomionego żołnierza, każdy z jednej strony. Zawlekli go do wciąż otwartego włazu – i wyrzucili na zewnątrz!

Boba skrzywił się, przejmując z powrotem kontrolę nad statkiem.

– Morderstwo żołnierza ochrony. Teraz jesteśmy w poważnych tarapatach!

– Ma spadochron, tak. – powiedział Aia.

– A poza tym nie jest żadnym żołnierzem. – dodał Uczciwy Gjon. – Ten mundur był równie fałszywy, co kredyty. To było nieudane porwanie.

* * *

– Udało się! – powiedział Boba, sprowadzając statek na platformę do lądowania Uczciwego Gjona. Serce mu wciąż waliło, lecz uratował *Slave'a I*. A do tego nieco zarobił.

– Ile mamy kredytów? – spytał. – Podzielmy je na trzy części, żebym mógł się stąd wydostać.

– Tutaj właśnie mam złe wieści, tak. – odezwał się Aia. – Wszystkie wyleciały przez drzwi, gdy go wyrzucaliśmy.

– Wszystkie oprócz jednego. – poprawił Uczciwy Gjon. Podał Bobie stukredytowy banknot. – Weź go, zasługujesz sobie na całość. A poza tym przyda ci się na Coruscant.

Boba włożył sobie pieniądze do kieszeni razem z żalną dychą. Pomimo tego, że zarobił tylko sto kredytów, czuł, że Jango Fett byłby dumny.

Dowiedział się tego, czego się miał dowiedzieć na księżycach Bogdenu. Nawet zdobył sobie kilku kolegów (lub raczej, jak Jango by ich nazwał, sojuszników. Żadnych przyjaciół, żadnych wrogów. Tylko sojusznicy i przeciwnicy.)

Teraz był czas żeby lecieć na Coruscant i znaleźć Tyranusa.

Podał sobie rękę z Uczciwym Gjonem, lecz Aia nalegał, by go przytulić.

– Boba, kontynuuj swoje poszukiwanie, tak. Lecz bądź ostrożny. Jesteś zbyt łatwowierny. Uważaj na siebie, dobrze?

– Dobrze. – powiedział Boba. – Dzięki, Aia.

Znów się przytulili, po czym Boba wsiadł do *Slave'a I* i odleciał. Dopiero gdy był w kosmosie, przygotowując się do wykonania skoku nadprzestrzennego, zauważył, że nie miał w kieszeni stukredytowego banknotu.

Dychy też nie było.

ROZDZIAŁ 22

W nieskończonej, zawilej sieci cywilizowanych i częściowo cywilizowanych światów tworzących Jądro Galaktyki, niektóre planety trudno znaleźć. A innych nie da się przeoczyć.

Coruscant należy do tych drugich.

Współrzędne łatwo zapamiętać i nawet łatwiej wprowadzić do komputera nawigacyjnego: zero zero zero

To tutaj zaczyna się cywilizacja. W sercu Światów Jądra. W samym centrum Znanego Wszechświata.

Coruscant. Planeta, która jest miastem; miasto, które jest planetą.

Boba obudził się, gdy *Slave I* wyskoczył z hiperprzestrzeni i wślizgnął się w normalną przestrzeń.

Potrząsnął głową, by się pozbyć pozostałości snów, które zawsze miał podczas podróży nadprzestrzennych.

I oto ona. Legendarna planeta-miasto, pokryta ulicami i dachami, wieżowcami i balkonami, parkami i sztucznymi morzami. Coruscant była jedną wielką metropolią od bieguna do bieguna.

Ani jednej naturalnej zielonej przestrzeni ani łąki; żadnej dziczy, żadnych lasów, żadnych lodowców. Coruscant była w stu procentach miastem, slumsami i pałacami, parkami i placami. Obracała się w pełni swej chwały, zapraszając *Slave'a I* tak jak zapraszała pielgrzymów i piratów, polityków i petentów, wędrowców i podróżnych, od czasów początków Republiki wiele tysięcy temu.

I teraz oczekiwała Boby Fetta. Sierotę chcącego jedynie zadowolić ducha swojego ojca.

W końcu znów pełen nadziei, Boba wprowadził *Slave'a I* w pod-orbitalną ścieżkę podejścia, obok wielkich orbitujących lusterek, które łapały światło odległego słońca Coruscant i kierowały je na planetę.

Statek kosmiczny wpadł w atmosferę i zaczął zwalniać. Boba zniżył się, wykonując duże, spiralne zakręty, mijając wieżowce bogatych i wpływowych, przelatując obok wiszących ogrodów i przez strefy komercyjne zarezerwowane dla nieproszonych gości. Z ruchem powietrznym pojawiającym się ze wszystkich stron, było to znacznie bardziej ekscytujące podejście do lądowania niż na Kamino czy księżycach Bogdenu. Bobę ścisnęło serce. Czy znajda go tutaj?

Poczuł delikatny wstrząs i puścił ster *Slave'a*. Statek leciał na autopilocie, prowadzony bezprzewodowo z ziemi. Sam wylądował.

Bobie to nie przeszkadzało. Miał inne zmartwienia. Na przykład pieniądze. Będzie musiał wnieść opłatę za miejsce do lądowania, zanim będzie mógł ponownie wystartować. Potem była

jeszcze sprawa z Jedi. Jeśli oni naprawdę byli na jego tropie, tak jak Taun We go ostrzegła, mogą poznać *Slave'a I*. Mogliby go aresztować, gdy tylko wyląduje.

Potrzebował jakichś wskazówek. Może książka mu pomoże. Wydawała się otwierać, gdy jej potrzebował, lub przynajmniej gdy miała coś do powiedzenia.

Wyciągnął ją z torby lotniczej. Otworzyła się. Lecz wiadomość była jeszcze bardziej tajemnicza niż zwykle:

Uważaj, gdy wszystko idzie za dobrze.

To niezbyt mnie dotyka! pomyślał. Zamknął książkę z obrzydzeniem i odłożył ją na miejsce. Ze zdenerwowaniem patrzył, jak statek zbliża się do kosmoportu, prześlizgując się między wieżowcami i pod oświetlonymi ulicami i ogrodami Coruscant.

Slave I dotknął ziemi lekko i delikatnie. Żadne alarmy się nie włączyły.

Boba opuścił rampę. Zbadał wzrokiem platformę do lądowania, gotów dać nogę, jeśli byłaby taka konieczność.

Nikt go nie obserwował. Nikogo nie było w pobliżu.

To była Coruscant. Nikogo nie obchodził jakiś mały statek taki jak *Slave I*. Ani jego dziesięcioletni pilot.

Pierwszym uczuciem, jakie ogarnęło Bobę po wylądowaniu, była ulga.

Drugim był strach. Jedi mieli oczy i uszy wszędzie. Szczególnie na Coruscant. Czy znajdą Bobę, zanim on znajdzie Tyranusa?

Boba nie bał się Jedi tak bardzo, jak bał się porażki. Czy zhańbi pamięć po swoim ojcu, zawodząc w pierwszej próbie, czyli poszukiwaniu Tyranusa – a co za tym idzie, samowystarczalności?

– Witaj na Coruscant. – powiedział bezcielesny głos droida.

– Jasne, jasne. – Boba wymamrotał.

Niosąc w ręce torbę lotniczą z czarną książką i hełmem, jak również kilkoma dodatkowymi parami majtek i skarpetek, wylazł ze statku. Zszedł na ulicę po ruchomych schodach.

Boba naczytał się wystarczająco na temat Coruscant, by wiedzieć, że była ona ułożona warstwami ze względu na klasę i pełnioną funkcję.

Górne poziomy były dla bogatych i wpływowych. Patrząc do góry, Boba widział ich wieżowce i ogrody sięgające chmur.

Środkowe poziomy, czyli tam, gdzie wylądował, były przeznaczone zarówno dla biznesu, jak i przyjemności. Ulice zapelnione były istotami z wszystkich zakątków galaktyki, krzątającymi się, kupującymi i sprzedającymi, czy po prostu zwiedzającymi.

Dolne poziomy były podobno niebezpieczne. Były to strefy bezprawia, pełne uciekinierów, piratów i przestępców – wszystkich mieszkańców podziemia, które znajdowało się dosłownie całkiem pod ziemią.

Boba miał nadzieję, że wszystko pójdzie dobrze na dolnych poziomach, gdy będzie szukał Złotego Mankietu. Miał już wystarczająco przygód. Chciał tylko znaleźć Tyranusa.

Bobie sprzyjało szczęście.

Złoty Mankiet był małą dziurą w ścianie na wyższej warstwie niższych poziomów, tuż pod niższą warstwą środkowych poziomów.

Było wystarczająco nisko, by światło było przyćmione i neonowe znaki mogły się świecić cały dzień. Lecz nie aż tak nisko, że trzeba by było wynająć oddział uzbrojonych ochroniarzy tylko po to, by przejść przez ulicę.

Boba wszedł do środka przez rozsuwane drzwi.

Bar był opustoszały, nie licząc barmana, czterorękiego stworzenia, który używał dwóch rąk do mycia szklanek, jednej do przeliczania kredytów i jednej do wycierania lady moką ścierką. Skórę miał ciemnoczerwoną, a znak właściciela lokalu zdradzał, że miał na imię Nan Mercador.

Boba położył torbę lotniczą na ziemi i usiadł na stołku.

– Żadnych dzieci! – powiedział Mercador, wyciskając szmatę i rzucając ją na ladę. – A to oznacza ciebie!

– Nie jestem klientem, – wyjaśnił Boba. – Nie pragnę trunku. Szukam... krewnego. Nazywa się Dooku.

Twarz barmana się rozpromieniła.

– Dooku! – spojrzał na Bobę z nowym zainteresowaniem. – Dooku. A, tak, oczywiście. Jasne. Mój dobry przyjaciel. Pozwól, że do niego zadzwonię.

Mercador począł wystukiwać numer na komunikatorze.

– Dooku? Czy to ty? – spytał. – Jest tu ktoś, kto chciałby się z tobą widzieć. – Ekran za ladą począł migotać, lecz obraz się nie pojawił, zupełnie tak, jakby to było długodystansowe, międzyplanetarne połączenie. Barman uśmiechnął się do Boby.

– Może soku?

– Nie do końca mam czym zapłacić. – powiedział Boba.

– Nie ma sprawy, – odrzekł barman, jedną ręką wycierając blat, a dwoma innymi napełniając kufel. – Stawiam!

Sok był zimny i smakował wspaniale. Boba z trudem mógł uwierzyć we własne szczęście. Był na Coruscant może dopiero godzinę, a już spotkał przyjaznego barmana, który znał Tyranusa (a raczej Dooku!), a teraz pił sok za darmo.

Nagle przypomniał sobie o czarnej książce: Uważaj, gdy wszystko idzie za dobrze. Czy to mogło oznaczać, że-

Nagle ekran przestał migotać i pojawił się na nim obraz. Boba zauważył dwie znajome twarze. Żadną z nich nie był Tyranus. Tą po prawej był Diollanin; po lewej natomiast był Rodianin. Para łowców nagród z księżyców Bogdenu.

– To on! – powiedział Rodianin. – Bierz go! Dostarcz go Jedi, dostaniesz nagrodę.

Boba spróbował ześlizgnąć się ze stołka i uciekać. Lecz było za późno. Silne dłonie złapały go za prawe ramię.

I lewe ramię. I lewą nogę.

I prawą nogę.

Nan Mercador wyszedł zza lady i podniósł go do góry.

– Ej! – krzyknął Boba. – Puść mnie!

– Zapomnij. – powiedział barman, trzymając Bobę nad głową. – Jesteś wart sporą sumę pieniędzy.

– To jest pomyłka!

– Żadna pomyłka, dziecko. – powiedział Rodianin na ekranie komunikatora.

– Jesteś łupem. – dodał Diollanin.

– Jedi się ciebie spodziewają. – Diollanin poinformował Mercadora.

– Dadzą ci wynagrodzenie w gotówce. – powiedział Rodianin.

– Powiniennem dostać połowę. – odezwał się barman, krocząc w stronę drzwi, trzymając Bobę nad głową na wszystkich czterech ramionach. Oszczędziłem wam obojgu kłopotu z przyleceniem tutaj.

– Za późno na to. – odrzekł Rodianin.

– Wszystko zostało już zaaranżowane. – dodał Diollanin i się rozłączył.
Ekran stał się czarny.
Myśl szybko, pomyślał Boba, szamocząc się i kopiąc bezsilnie pod sufitem. A jeśli to nie zadziała, myśl szybciej! Przestał się szamotać.
– Nie bądź głupcem, – powiedział. – Hrabia Dooku zapłaci dwa razy tyle, co Jedi. I nie będziesz się musiał z nikim dzielić.
– Nie będę? – Nan Mercador się zatrzymał. Lecz nie puścił Boby. – Jesteś pewien?
– Na sto procent. – powiedział Boba. – Puść mnie, a sam do niego zadzwonię. Możesz się go spytać.
– Musisz mnie mieć za skończonego idiota. – powiedział Mercador, wciąż trzymając Bobę tak wysoko nad głową, że prawie dotykał sufitu. – A poza tym nie znasz jego numeru. Prosiłeś mnie, bym go znalazł, pamiętasz?
– Tylko cię testowałem. – odpowiedział Boba, przyglądając się lampie u sufitu przy jego lewej nodze. Była tylko kilka centymetrów od niego. – Ale nie musisz mi wierzyć na słowo. Sam się go możesz spytać. Numer to...
Wypowiedział szereg cyfr, mając nadzieję, że będą brzmiały realistycznie. Najwyraźniej się udało. Barman puścił lewą nogę Boby i począł je wystukiwać na komunikatorze przy ladzie.
Boba był gotów uciekać. Gdy tylko miał nogę wolną, kopnął w lampę z całej siły.
KRACH! Roztrzaskała się, rozsypując szkło po ladzie, stołkach, podłodze...
Mercador uniósł ręce, by chronić głowę przed spadającym szkłem. Boba zaczął spadać głową w dół. W ostatniej chwili zdołał przewrócić się w powietrzu niczym nurek i wylądować na stopach. Rzucił się w kierunku drzwi, które się rozsunęły, ukazując parę błyszczących butów, blokujących mu drogę. Nad nimi była para kształtnych nóg. A nad nimi-
To była kobieta, trzymająca w ręku całkiem okazałych rozmiarów blaster. Jedną ręką złapała Bobę za ramię. Drugą rękę podniosła i oddała strzał.
Barman zakwiczał z bólu i upadł na ziemię pośród kawałków szkła.
– Jest ustawiony na ogłuszanie. – powiedziała. – Ale jeden zły ruch i przełączam na zabijanie.
– Fajnie. – powiedział Boba, spoglądając na osobę, która go uratowała. Wyglądała groźnie. To czyniło ją jeszcze piękniejszą w jego oczach. – Kim jesteś? – spytał.
– Aurra Sing. – powiedziała. – Ale to nieważne. Wynośmy się stąd.
Boba nie musiał być proszony dwa razy. Założył torbę na ramię i wyszedł za Aurra na ulicę, w stronę zaparkowanego śmigacza, który spoczywał z włączonym silnikiem na wąskiej alei.
– Łowcy nagród. – wyjaśnił, zadyszany. – Zdradzili mnie. Nigdy nie powinienem był im ufać!
– Łowcom nagród można zawsze zaufać – powiedziała Aurra sing. – Zaufać, by zrobili to, za co im się płaci. – Otworzyła drzwi śmigacza. – Wiem, ponieważ sama jestem łowczynią nagród. Wsiadaj, młody Boba Fettcie.
– Wiesz, jak się nazywam?
– Oczywiście. Łowca nagród zawsze wie, jak nazywa się jego ofiara.
Boba się odsunął, gotów uciekać.
– Wsiadaj! – Aurra Sing poklepała blaster w błyszczącej kaburze. – Bardzo boli, nawet ustawiony na ogłuszanie. Nie zmuszaj mnie, bym go na tobie użyła.
Boba się poddał i wsiadł. Jęknął, gdy śmigacz się uniósł. Myślał, że został uratowany. Zamiast tego znowu został porwany!

Gdy śmigacz się wznosił coraz wyżej i wyżej, wijąc się pomiędzy wieżowcami i wiszącymi ogrodami Coruscant, Boba oparł się o tył fotela i westchnął, wkurzony na siebie.

– Uważaj, gdy wszystko idzie za dobrze. – powinienem był wiedzieć, pomyślał sobie. Już nigdy nikomu nie zaufam!

Był zdziwiony, gdy Aurra Sing wylądowała w porcie kosmicznym, tuż obok *Slave'a I*.

– Nie zabierasz mnie do Jedi? – spytał. – Myślałem, że jesteś łowcą nagród.

– Jestem, – powiedziała. – Lecz nigdy bym nie pracowała dla Jedi. Mój klient mieszka na zupełnie innej planecie. Dlatego używamy twojego statku. Potrafisz nim latać, czyż nie?

– A co, jeśli powiem nie?

Znów poklepała blaster.

Boba otworzył rampę i sprawdził systemy *Slave'a*. Ku jego zdziwieniu, Aurra Sing zapłaciła za postój, a nawet dała droidowi napiwek.

– Najpierw niska orbita. – powiedziała. – Następnie hiperprzestrzeń. I bez żartów. Nie jestem znana z poczucia humoru.

– No co ty, – wymamrotał pod nosem. Następnie spytał, – Czy miałabyś coś przeciwko powiedzeniu mi, kto na mnie nałożył nagrodę, oraz dokąd zmierzamy?

– Dowiesz się kto całkiem niedługo. – powiedziała. – A zmierzamy na planetę zewnętrzną rubieży zwaną Raxus Prime.

– Przepraszam? Musiałem źle usłyszeć, myślałem że powiedziałaś Raxus Prime.

– Dobrze słyszałeś.

– Ale... to planeta poważnie niezamieszкана.

– Wiem. I się spóźniamy. Więc wprowadź nas w nadprzestrzeń i lećmy.

ROZDZIAŁ 23

Boba czytał o Raxus Prime, lecz nigdy jej nie widział, nawet na zdjęciach. Mało osób ją widziało. Kto by chciał?

Raxus Prime była najbardziej toksyczną planetą w galaktyce. Była wysypiskiem wszelkiego rodzaju gruzu i śmieci dla tysiąca cywilizacji.

Nie wyglądała aż tak źle z daleka. Trochę jak Kamino, pomyślał, gdy wypadł z hiperprzestrzeni i znalazł się na orbicie. Była cała pokryta chmurami. Piękne, wirujące chmury, zabarwione na różne odcienie szkarłatu, zieleni i żółci.

Lecz gdy *Slave I* przelatywał przez chmury, Boba zauważył, że są one w rzeczywistości zrobione z dymu, pary i toksycznych gazów. Zapach był tak silny, że penetrował systemy statku. Smród był okropny, lecz widoki były wspaniałe, gdy *Slave I* przelatywał z ciemnej strony planety na jasną.

Zanieczyszczenia potrafią sprawić, że wschody słońca są naprawdę piękne.

Smród nie zdawał się przeszkadzać Aurrze Sing. Nic nie zdawało się jej przeszkadzać.

– Leć wolno i nisko. – powiedziała. To było pierwsze, co powiedziała od kilku godzin. Cała podróż z Coruscant przebiegła w ciszy.

To nie przeszkadzało Bobie. On też nie miał jej nic do powiedzenia. Ona nie była jego sojusznikiem, lecz przeciwnikiem.

W pewnym momencie, w miarę jak *Slave I* opadał coraz niżej, Boba zobaczył po raz pierwszy powierzchnię Raxus Prime. Była pokryta gruzem, złomem, śmieciami i odpadami usypanymi w wielkie kopce niczym groteskowe pasma górskie. Zardzewiałe, zniszczone statki

kosmiczne, spalona broń, zepsute maszyny, stopy szkła i stali były po części zakopane w kupie żużlu i popiołu. A wszystko to się tliło i dymiło, zanieczyszczając powietrze i wodę pod spodem.

Choć to wszystko wyglądało na martwe, było żywe. Boba widział malutkie stworzenia w brązowych szatach krzątające się po złomowisku. Widział ptaki barwy gleby, jak brudne smugi na niebie. Nie było miast, lecz co kilka kilometrów słupy płomieni wzbijające się w powietrze zdradzały lokalizacje rafinerii lub zakładów recyklingu, prowadzonych przez wysmarowane olejem droidy.

– Wolniej, dziecko.

Aurra Sing skonsultowała swoją małą bazę danych w urzędzeniu na nadgarstku.

– Powinno to być gdzieś tutaj. Szukaj przechylnego wzgórze obok jeziora – tam!

„Wzgórze” było wysoką na tysiąc metrów stertą śmieci. Skrzywione, bezlistne, zmutowane drzewa porastały jego zbocza, karmione przez nieustający deszcz spadający ze śmierdzących chmur.

Natomiast „jezioro” to był tak naprawdę basen opalowego płynu barwy żółci. Stosując się do instrukcji Aurry Sing, Boba wylądował na niewielkim placu pomiędzy jeziorem, a podstawą wzgórze.

– Nie wyłączaj go.

– Hm?

– Statek. Nie wyłączaj silnika. Ja się stąd zmywam. Ty zostajesz. I tyle.

– Nie możesz mnie tutaj zostawić! Nie możesz ukraść mojego statku! – zaprotestował

Boba.

– Kto tak powiedział? Statek jest moją zapłatą. – powiedziała Aurra Sing. Otworzyła właz i wysunęła rampę. – W zboczu wzgórze są drzwi. Otworzą ci się, gdy tylko odlece. Mój klient czeka na ciebie w środku. Nie zapomnij torby.

Wyrzuciła ją na śmierdzącą, dymiącą ziemię. Boba pobiegł za nią. Zamknęła za nim właz.

– Nie możesz mnie tak tutaj zostawić! – krzyknął, waląc w kadłub statku. – Ucieknę!

– Rozejrzyj się – nie wydaj mi się! – odrzyknęła. – Spadam. Powodzenia, Boba Fettcie.

Mam nadzieję, że dożyjesz do reputacji swojego ojca. Był świetnym łowcą. Kto wie, może ty też kiedyś będziesz. Podobał mi się sposób, w jaki rozprawiłeś się z tym barmanem.

Boba nie mógł uwierzyć. Uratowała go, po czym go zdradziła, następnie okradła, a potem skomplementowała. A teraz miała zamiar go zostawić na najpodlejszej planecie galaktyki. Uderzył pięściami we właz z wściekłości, lecz ten zamiast się otworzyć, domknął się z sykiem.

Teraz czuł się naprawdę samotny. Nie było nikogo, komu mógłby zaufać.

Silniki *Slave'a* zaryczały. Boba znał ten dźwięk. Odsunął się. Patrzył bezsilnie, jak statek – jego statek! – wznosił się w powietrze i zniknął w chmurach.

Po raz kolejny czuł się niebezpiecznie blisko płaczu. Równocześnie z trudem mógł oddychać. Nagle usłyszał za sobą jakiś dźwięk.

Obrócił się. Drzwi w zboczu wzgórze się rozsuwały. W środku Boba zobaczył jasno oświetlony korytarz prowadzący do wyłożonych dywanem schodów.

Boba nie czekał na zaproszenie. Wbiegł do środka, kaszląc i dławiąc się.

Co teraz? pomyślał, gdy drzwi się za nim zamknęły.

Zanim miał szansę odpowiedzieć na własne pytanie, usłyszał za sobą głos.

– Witaj na Raxus Prime, Boba Fettcie.

Głos był znajomy. Podobnie jak podłużna, chuda twarz i jastrzębie oczy.

– Hrabia Tyranus! To znaczy Hrabia Dooku!

– Jesteś wśród przyjaciół, Boba. – powiedział Hrabia. – Możesz mnie nazywać jak chcesz.

Samo Hrabia wystarczy.

– Ojciec powiedział mi, bym cię odnalazł. – powiedział Boba.

– A ja zadbałem o to, by tak się stało. – odrzekł Hrabia. – Widzę, że Aurra Sing świetnie sobie poradziła z dostarczeniem cię tutaj w jednym kawałku.

– Tak jest, sir. – powiedział Boba. – To znaczy nie, sir. Widzi pan, ona ukradła mój statek i...

Hrabia się uśmiechnął i uniósł dłoń.

– Nie martw się. Twój statek jest bezpieczny. Wszystko będzie dobrze. Z pewnością jesteś bardzo zmęczony.

Boba przytaknął. Była to prawda.

– Nie martw się o nic. – Hrabia położył zimną dłoń na głowie Boby. – Chodź, pokażę ci twój pokój. Pozwól, że poniosę ci torbę.

Boba wyszedł za nim po wysokich schodach. Dywany były miękkie i puszyste. Kto by się spodziewał, że na planecie śmieci jest tak eleganckie miejsce. Nawet powietrze było słodkie. Z planety na zewnątrz dobiegał tylko bardzo delikatny nieprzyjemny zapach.

– Mam dla ciebie wielkie plany, Boba. – odezwał się Hrabia. – Plany, które sprawiłyby, że twój ojciec byłby dumny. Lecz wpieryw musisz odpocząć. Jesteś na pewno bardzo zmęczony po tych wszystkich podróżach.

Boba przytaknął. Miał wiele przygód w ciągu ostatnich kilku dni. Ucieczka przed myśliwcem Jedi na Geonosis, ucieczka przed kobietą Jedi na Kamino, odzyskanie statku i nieudany rabunek na księżycach Bogdenu, szarpanina z barmanem na Coruscant...

Stracił statek, lecz odzyska go. Hrabia obiecał, czyż nie? Czy jakoś tak.

Całkiem sporo jak na dziesięciolatka, zdał sobie sprawę. Był zmęczony. Lecz był również zmieszany. Wiedział, że powinien się cieszyć. Miał szczęście. Wykonał pierwszą część swojego zadania. Odnalazł Tyranusa. Teraz odnajdzie Mądrość.

Więc dlaczego poczuł zimny dreszcz, gdy Hrabia położył mu dłoń na głowie?

Pewnie tylko nerwy, pomyślał, idąc za hrabią do góry w stronę swojego pokoju. I w stronę swojej nieznannej przyszłości.